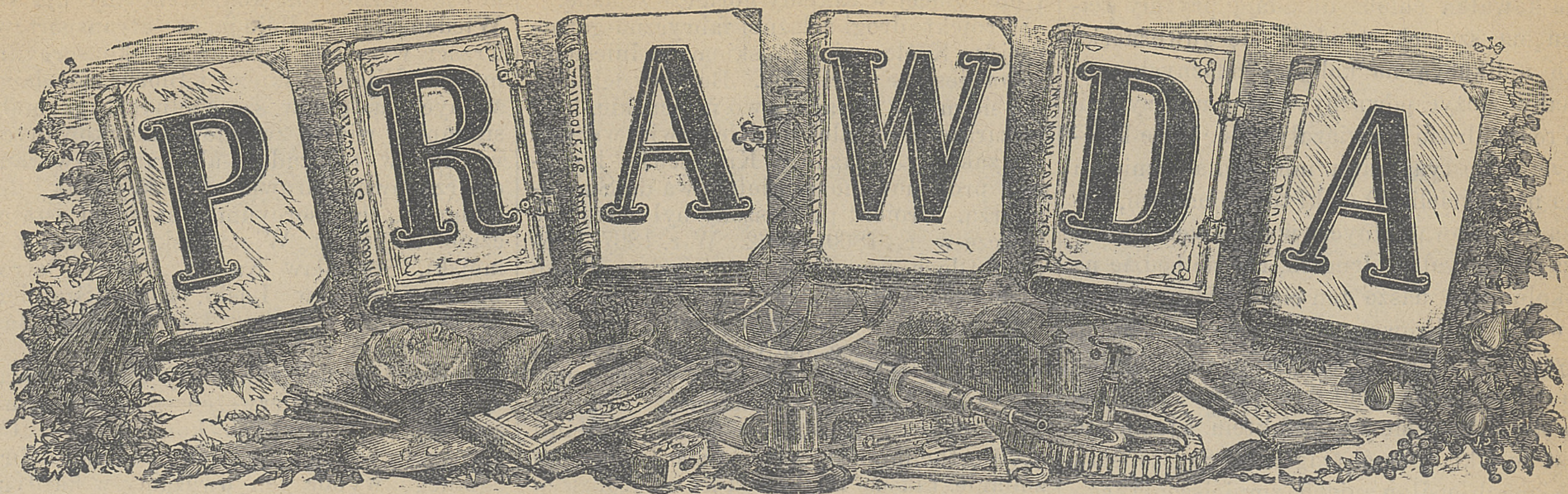
№ 35. Warszawa, dnia 27 (15) Sierpnia 1881 r. Rok I



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

KWESTYA SZKOLNA.

Z każdym rokiem ponawia się w spotęgowanej mierze fakt olbrzymiego braku miejsc w gimnazyach, pozbawiający masę młodzieży prawa, które, zdaje się, służyć winno wszystkim członkom społeczeństwa ucywilizowanego. Wobec takich faktów gasną nam przed oczyma blaski wszystkich wielkich „kwestyj," zajmujących inne kraje, porzucamy rozległe zagadnienia społeczne i ogólnoludzkie, zatapiając całą uwagę w tym czysto naszym smutku. A smutek to wielki, jeśli poznamy całą grozę ilustrujących go cyfr. Od lat kilku już gazety donoszą, że tłumy młodzieży daremnie pukają do zamkniętych drzwi szkoły, że setki strapionych rodziców załamują rozpaczliwie ręce nad zwichniętym losem swych dzieci. Rok wszakże obecny podniósł to strapienie do niebywałej wysokości. Poznajmy kilka przykładowo wziętych szczegółów z rezultatu tegorocznego zapisu szkolnego, a one dadzą nam wyobrażenie o tej potrzebie, w imię której dziś przemawiamy.

Zajrzyjmy do gimnazyów warszawskich.

W tak zwanem drugiem, klasa wstępna posiadała miejsc wakujących 38, kandydatów zaś do niej zgłosiło się **140**, zatem blisko *cztery razy więcej*. Klasa pierwsza miała miejsc 7, kandydatów zapisało się **96**, zatem przeszło *dwanaście razy więcej*. W klasach następnych wcale wakansów nie było, wszyscy więc kandydaci bez wyjątku zostali odprawieni, chociaż wszyscy uczniowie, którzy ukończyli progimnazya na ulicy Żelaznej i Gęsiej, pragnęli wstąpić do jedynego w tych okolicach gimnazyum II. Niedość tego. W roku zeszłym klasa 2 posiadała dwa oddziały. Otóż promowani jej uczniowie, zlawszy się w 3-ej, która posiada jeden tylko oddział, przepełnili określoną dla niej liczbę i skutkiem tego kilkunastu z nich, mimo promocyj, zostanie wydalonych.

Że to nie są stosunki wyjątkowe, poznajmy je w najludniejszem gimnazyum III-ciem.

Gimnazyum to miało wakanse tylko w dwu niższych klasach. Do klasy 1 — przy trzech równoległych oddziałach — na 31 miejsc zgłosiło się **137** kandydatów, t. j. przeszło *sześć razy więcej*. Do klasy 2 — przy tyluż oddziałach — na 8 wakansów stanęło do egzaminu **38** kandydatów, t. j. blisko *pięć razy więcej*. Klasy 3, 4 i 5 mimo dwu oddziałów w każdej są zapełnione. W klasie 6 powtórzył się fakt, zaznaczony wyżej w gimnazyum II, mianowicie uczniowie promowani przewyższyli komplet i dlatego liczba ich nadmierna (około 15) musi być usunięta.

Wnioski z tych cyfr są tak proste, że zaledwie potrzebujemy pomagać czytelnikowi do ich wyciągnięcia. Uwzględniwszy to, iż skutkiem ograniczonej ilości wakansów lub zupełnego ich braku, wielu kandydatów wcale się nie zgłasza i ich ogólnej sumy ściśle poznać nie daje, z zupełnem prawdopodobieństwem przypuścić można, że społeczeństwo nasze dla wykształcenia swych dzieci potrzebuje co najmniej pięć razy więcej miejsc w gimnazyach, aniżeli ich obecnie posiada. Litość bierze patrzeć na zrozpaczonych rodziców, na biednych chłopców, którzy przy egzaminach składają zdumiewające dowody przygotowania i nie mogą całym wysiłkiem zdobyć kawałka ławki dla pobierania nauki. Często znajdują się oni w położeniu bez wyjścia. Bo chociaż który z nich wykaże należyte uzdolnienie do klasy 3 i poprzestałby na prawie wstąpienia do 1, to znowu wiele nie pozwala mu skorzystać nawet z tego przywileju. Ileż to razy przepadają lub tamują się w rozwoju dzielne umysły, ileż razy zmarnieć muszą z trudem zdobyte środki! Chętne do pracy i zdolne do nauki dziecko łamie sobie życie, ubodzy rodzice tracą pokładane w niem nadzieje — bo w szkole niema miejsca. W szkole niema miejsca — dumne z siebie i zasmucone swą dolą musi być społeczeństwo, które to o sobie powiedzieć może. Wątpimy, czy jest drugie w Europie, które szczyciłoby się taką dumą i trapiło takim smutkiem. Podczas gdy wszędzie szkoła nęci uczniów, u nas uczniowie żebrzą pod jej zamkniętemi drzwiami.

To jest los nowowstępujących; co powiedzieć o tych, którzy w środku swej edukacyi mają nieszczęście stworzyć nadmiar w klasie i muszą ją opuścić? Co rzec o wychowańcach progimnazyów, którzy z najlepszemi świadectwami nie mogą posunąć się dalej, bo miejsc w wyższych klasach gimnazyów niema? Wystawmy sobie wreszcie położenie ucznia, który przeszedł klasy niższe i nagle, pomimo promocyi do wyższej zostaje z niej wydalony i skazany na tułaczkę, często bez nadziei pomyślnego jej zakończenia. Są to wszystko zjawiska tak smutne, tak nadzwyczajne, że doprawdy nie wiadomo, czy nad niemi płakać, czy im się dziwić należy.

Tworzenie tak zwanych oddziałów równoległych przekonało dowodnie, że niedostatku nie dźwignie. Potrzeba szkół nowych. Czy brak na to funduszów? 30 rs. wpisu, dochody gimnazyów z opłat szkolnych, dochodzące do 15,000 rs. rocznie, stanowią aż nadto obfite źródło utrzymania dla gimnazyów. Czy brak nauczycieli? A ileż to ludzi specyalnie do tego powodu ukształconych tuła się dziś bez zajęcia lub marnieje w najprzeróżniejszych biurach.

Z samych tych pedagogów, którzy dziś dla kawałka chleba układają pryzmy szabru na szosach, trudnią się guwernerką lub aplikacyą na kolejach żelaznych, możnaby złożyć poważny zastęp nauczycieli. Wtedy odrazu rozwiązałyby się dwie kwestye: kwestya braku miejsc dla uczniów i dla nauczycieli. Dopóki to nie nastąpi, nędza umysłowa jednych, w skojarzeniu z nędzą materyalną drugich, rzucać będzie na szkolnictwo nasze ten cień, który w państwie ucywilizowanem padać nie powinien. Tysiące młodzieży skazywanych corocznie na przymusowe nieukształcenie — już nieco oswoiliśmy się z tym faktem, a jednakże jest to fakt niemal tragiczny. Słyszeliśmy o słabych usiłowaniach zmniejszenia jego rozmiarów; czy jednak te dobre, zapóźno odczute chęci, zaradzą złemu! Dwudziestu, wreszcie stu uczniów zyska możność kształcenia się — a co zrobi reszta? Ha, nastręczać nam będzie tematy do gorzkich żalów, artykułów, t. j.... daremnego wołania na puszczy.

DROGA ŻELAZNA
IWANGRODZKO-DĄBROWSKA.

Oddawna zapowiadana i oczekiwana droga żelazna Iwangrodzko-dąbrowska przeszła już nareszcie w sferę rzeczywistości i wkrótce powiększy długość sieci kolejowej w Królestwie Polskiem. A powiększy ją znacznie, bo do 1,438 wiorst, istniejących od r. 1877 t. j. od oddania na użytek publiczny drogi Nadwiślańskiej — doda wiorst 421 t. j. około 30% dotychczasowej długości sieci. Nowa droga składać się będzie z dwu linii, przecinających się w Bzinie — wsi położonej w pow. korzeckim i posiadającej zakłady górnicze żelazne. Jedna z tych linij przetnie gubernią Radomską, idąc od Iwangrodu (Dęblina) stacyi dr. żel. Nadwiślańskiej, oraz odnogi łukowskiej łączącej dr. Nadwiślańską z Terespolską do Dąbrowy, stacyi kolei Warsz.-Wiedeńskiej i punktu środkowego kopalni węgla w kraju, długość jej wynosić będzie $266\frac{1}{2}$. Druga linia, długa wiorst $154\frac{1}{2}$, iść będzie od Koluszek, stacyi dr. żel. Warsz.-Wiedeńskiej i Fabryczno-Łódzkiej, do Boduchowa wsi w pow. opatowskim, położonej o 5 wiorst od Ostrowca, w okolicy lesistej i obfitującej w zakłady górnicze żelazne.

Projekt drogi żelaznej fabryczno-górniczej w Królestwie Polskiem podniesiony został jeszcze w r. 1856. Budowy jej podjąć się miało towarzystwo francuskie, które zarazem chciało wydzierżawić wszystkie zakłady żelazne w Królestwie; kierunek proponowano od Piotrkowa do Sandomierza. Projekt podnoszony był następnie jeszcze w r. 1860 i 1862. W r. 1867 bankier Bloch rozpoczął na nowo staranie o budowę tej drogi, lecz już ze zmienionym kierunkiem, a mianowicie od Piotrkowa przez Szydłowiec do Ostrowca. W tych staraniach przyjęli udział w r. 1868: mr. Z. Wielopolski, oraz bankierzy: Frenkel, Władysław i Antoni Lascy, M. Epstein i J. Wertheim. Potem kierunek drogi uległ zmianie, tak że miała ona iść od Koluszek do Lublina z odnogą do Sandomierza.

W r. 1872 minister komunikacyi wniósł do komitetu ministrów projekt budowy 1,370 wiorst nowych dróg żelaznych w Królestwie Polskiem, z których 604 na prawym brzegu Wisły (w tem 502 wiorsty istniejącej już obecnie dr. Nadwiślańskiej z odnogą z Iwangrodu do Łukowa) i 738 wiorst na lewym brzegu Wisły. W skład tych ostatnich wchodziły: droga żelazna od Iwangrodu do Krakowa z odnogą do Dąbrowy, z Józefowa (nad Wisłą) przez zakłady górnicze do Koluszek, z Łodzi do Kalisza, z Kutna do Słupca, i z Sieradza do Wieruszowa. Budowę jednak dróg na lewym brzegu Wisły uznano wtedy za przedwczesną ze względów strategicznych, tak że dopiero w roku bieżącym dwie z nich pod ogólną nazwą drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej doczekały się zatwierdzenia, z pewną zresztą zmianą w kierunku.

Kandydatów do otrzymania koncesyi na nowo zatwierdzoną drogę było niemało, bo aż 19. Z tych jednak trzy tylko oferty wzięto szczegółowiej pod uwagę, a mianowicie: 1) konsorcyum, które ostatecznie się utrzymało; 2) towarzystwo kolei Warsz.-Wiedeńskiej i 3) grupę finansistów francuskich, reprezentowanej przez p. Plemiannikowa. Ci ostatni podejmowali się budowy i eksploatacyi drogi bez gwarancyi rządowej, ale żądali też zupełnej swobody w ustanowieniu kapitału zakładowego i wypuszczaniu obligacyi, co sprzeciwia się normalnym ustawom dróg żelaznych rosyjskich. Kolej Warszawsko-Wiedeńska podała najponętniejsze warunki; przyjmowała na siebie gwarancyę rządową dla dróg Warszawsko-Bydgoskiej i Łódzkiej, oraz udział w gwarancyi nowej drogi. Dogodne warunki, proponowane przez towarzystwo drogi Warsz.-Wiedeńskiej, tłomaczą się tem, że nowa kolej, a mianowicie główna jej linia od Dąbrowy do Iwangrodu, stanowić będzie tór konkurencyjny dla W. Wiedeńskiej i odbije jej część transportów. Trzeci wreszcie konkurent, konsorcyum margr. Wielopolskiego i Blocha, nie dając żadnych ustępstw szczególnych, trzymało się mniej więcej zwykle praktykowanych warunków t. j. żądało absolutnej gwarancyi rządowej zarówno dla akcyi, jak i dla obligacyi. Konsorcyum to składają ostatecznie: Zygmunt Wielopolski, Tomasz Zamojski, Stanisław Karski, August Ostrowski, Władysław Laski, Karol Szajbler, Wilhelm Rau, Leon Loewenstein, Jan Bloch i Leon Goldsztand.

Nie wiemy, jakie powody skłoniły władzę do oddania pierwszeństwa ostatniemu z wyżej przytoczonych konkurentów. Co do nas, to wychodząc ze stanowisska dobra ogólnego, wybór ten uważamy w każdym razie za szczęśliwy. Przedewszystkiem cieszyć nas winno, że w skład zatwierdzonego towarzystwa weszły wyłącznie osobistości miejscowe, po których mamy wszelkie prawo spodziewać się, że użyją do budowy i eksploatacyi kapitałów *a przedewszystkiem* sił krajowych. Między koncesyonaryuszami spotykamy z jednej strony osoby, specyalnie obeznane ze sprawą kolejową i dające rękojmię umiejętnego prowadzenia interesów, z drugiej nazwiska ludzi, zapowiadających, że nadzieja zysków nie będzie jedyną pobudką ich działania i że znajdując dogodną lokacyę dla swych kapitałów, będą mieli jednocześnie na uwadze dobro kraju i podniesienie jego stanu ekonomicznego. Jest to jeden z najważniejszych względów, które każą nam sympatycznie spoglądać na nowe towarzystwo. Droga Iwangrodzko-Dąbrowska jest, rzec można, pierwszą u nas koleją konkurencyjną, a wiadomo, że w stosunkach współzawodnictwa, zwłaszcza zaś na drogach żelaznych, przedewszystkiem potrzebna jest ta rękojmia moralna osób kierujących przedsiębiorstwem, że nie dadzą się one porwać za daleko, bez przebierania w środkach, lecz utrzymują się w granicach, jakie im dobrze zrozumiany i na przyszłość obliczony interes własny i ogólny nakreśli.

Konkurencya, jaką nowa droga, i oddanie jej nowemu zupełnie towarzystwu w dziedzinę nowych stosunków kolejowych wprowadza, jest również faktem pomyślnym. We wszystkich ważniejszych państwach drogi żelazne miały swą epokę walki, która niemało przyczyniła się do rozwoju i udoskonalenia dróg żelaznych. Wprawdzie w wielu miejscach konkurencya ta przebrała miarę i doprowadziła do zaciętego wyścigu, podkopującego wszelkie racyonalne warunki gospodarstwa kolejowego i doprowadzającego do ruiny drogi że-

---

²)

Signorina Gioventu

przez

Swatopluka Czecha.

W niemym zachwycie przez chwilkę patrzył kancelista na urocze zjawisko.

W końcu zapytał: Kto jesteś, śliczna istoto?

Jakto, nie znasz mnie? — odparła srebrnym głosikiem i zdjęła różową maseczkę.

Dolna połowa twarzy, acz bardzo piękna, przyćmioną teraz została wspaniałością pogodnego czoła i blaskiem wielkich czarnych jak noc oczu, iskrzących się wesołością dziecięcą.

Kancelista zdało się teraz, że widział już gdzieś tę uśmiechniętą, pełną uroku twarzyczkę, jeśli nie na jawie, to w marzeniu sennem... Milcząc, pałającem okiem patrzył na nią.

Co, nie poznajesz mię jeszcze? — mówiła dalej. Przecież to ja byłam towarzyszką pierwszych lat twego życia. W kolebce kołysałam cię, usypiałam piosenką i baśnią, wskazywałam ci księżyc w oknie, a tyś usiłował pochwycić go swą pulchną rączką... Jednak zapomniałeś już o tem!... Powiedz mi, gdzieś był później? Gdzieś się obracał, gdy ja w zielonym gaju pierwiosnki zbierałam, kukułki wołałam, szmeru potoku słuchałam, za skowronkami goniłam wzrokiem w nieba błękity? Coś porabiał, gdym oczekiwała cię za wsią w parowie śród polnych róż? Gdzieś strawił lata chłopięce?

— Siedziałem po osiem godzin dziennie w dusznym pokoju nad poszarpaną książką, liczyłem zmarszczki na twarzy starego nauczyciela i drżałem przed jego laską trzcinową — odrzekł z westchnieniem kancelista.

— A pewnego razu wsadzili cię na wóz, dali ci obwarzanek i krzyżyk na drogę i zawieźli do wielkiego miasta. Ja odprowadzałam cię. Siedzieliśmy razem w głębi wozu, pod dziurawą płachtą i patrzyliśmy na gwiazdeczki, spoglądające na nas z poza pleców barczystego woźnicy. Lecz potem zniknąłeś, zapadłeś się w nawpół opustoszałem domostwie. Szukałam cię na ulicach wśród tłumów, krążących po nich gwarnie i wesoło, czekałam na ciebie w cieniu ogrodów zamiejskich, stawałam nad rzeką, wsparta na wiośle, sądząc, że siądziesz ze mną do lekkiego czółna, pod żaglem rozpiętym, i że polecimy daleko, daleko po błyszczącej tafli wód, między kwiecistemi brzegami... Lecz tyś nie przychodził! Później bywałam w wesołych towarzystwach, na hucznych balach, na koniu jeździłam po stepie, lecz o tobie ani widu, ani słychu. Gdzieś strawił swe młodociane lata?

— Siedziałem w dusznej sali nad poszarpaną książką, liczyłem zmarszczki na twarzy starego profesora i bałem się jego notesu.

— A teraz?

— Siedzę w dusznej kancelarji, piszę od rana do wieczora i chodzę czasem na wykonanie wyroków — odrzekł kancelista i głowę zwiesił smutnie na piersi.

łazne a sprawę komunikacyi do zupełnego chaosu. My tego obawiać się nie potrzebujemy, naprzód dla tego, że współzawodnictwo nowej drogi z dawnemi a mianowicie z Warsz-Wiedeńską, w skutek kierunku obu dróg, nie może być zbyt wielkiem, powtóre, że nasze zarządy kolejowe mają już przed oczyma smutne przykłady zapasów u obcych, oraz zwrotu tychże do racyonalniejszych zasad polityki taryfowej.

Nie ulega wątpliwości, że nowa kolej odbierze drodze Warsz.-Wiedeńskiej część jej transportów, tych mianowicie, które od południowej granicy Królestwa iść będą na drogi prawego brzegu Wisły. Sądzimy jednak, że strata nie okaże się tak wielka, jakby się na pozór zdawało, że droga Iwangrodzko-Dąbrowska zasilać się będzie zwłaszcza w kierunku ku Wiśle raczej nowo wytworzonemi przez nią transportami, aniżeli odebranemi. Weźmy tylko pod uwagę węgiel krajowy, główny artykuł przewozu i źródło dochodu drogi Wiedeńskiej. W r. 1880 przewieziono po tej drodze pudów 77,321,953, za co otrzymano dochodu rubli 3,014,612 kop. 70. Z tej ogólnej cyfry przypada 54,501,253 pudów i 2,133,063 rubli 61 kop. na komunikacye wewnętrzne i z drogą Bydgoską, t. j. na transporty, które stanowczo pozostaną przy drodze Wiedeńskiej. Podobnie rzecz się ma z transportem 841,011 pudów, które przeszły na drogę Warszawsko-Petersburską i dały dochodu 36,610 rubli 72 kop. Pewne wątpliwości mogą przedstawiać transporty znaczne na drogę Łódzką, które wyniosły 17,392,795 pudów z dochodem rs. 636,251 kop. 69, lecz i tu obawa nie może być zbyt wielką, jeżeli uwzględnimy znaczną różnicę w długości, po jakiej towar z Dąbrowy do Koluszek jedną a drugą drogą przebiegać musi. Odległość Dąbrowy od Koluszek po drodze Wiedeńskiej wynosi wiorst 182¼ t. j. tyle prawie co odległość z Bzina do Dąbrowy (w. 181⅕). Kolej zatem Wiedeńska będzie miała przewagę o całą prawie odległość z Bzina do Koluszek. Za stanowczo więc stracone dla dr. Warsz.-Wiedeńskiej uważać można tylko: węgiel idący na drogi: Nadwiślańską i Terespolską, oraz dolne, jak Moskiewsko-Brzeską i Kijowsko-Brzeską. Przewóz zaś ten w roku 1880 wynosił zaledwie 4,586,894 pudów t.j. około 6^0 ogólnej sumy przewiezionego węgla i przyniósł dochodu rs. 208,786 kop. 68 czyli niecałe 7^0 dochodu z tego źródła. Jeżeli zatem droga Iwangrodzko-Dąbrowska może liczyć na znaczne transporty węgla, to nie tyle przez odebranie go drodze Wiedeńskiej, lecz przez wytworzenie nowego dlań zbytu w Cesarstwie z powodu ułatwionej komunikacyi.

Cyfry powyższe, dotyczące przewozu węgla podaliśmy jedynie dlatego, ażeby dowieść, że nowa droga i oddanie jej nowemu towarzystwu nie może podkopać istniejących, wywołać zbyt wygórowanej konkurencyi, skoro prawie nie dotknie głównego artykułu jej przewozu. Wprawdzie w innych przedmiotach, np. w zbożu, różnica będzie bezporównania większa, lecz zato droga Wiedeńska zyska nowe transporty, któremi zasilać ją będzie prostopadła do niej linia Bodzechów-Koluszki. Słowem, warunki naturalne obu dróg każą wnosić, że konkurencya między niemi dobre tylko dla gospodarstwa krajowego sprowadzi następstwa, bez złych jej stron.

Jako jedyny zatem powód, któryby w oczach bezstronnego spostrzegacza mógł przy oddaniu koncesyi na nową drogę dać pierwszeństwo innemu konkurentowi t. j. towarzystwu drogi Wiedeńskiej nad nowo utworzonem konsorcyum, występuje kwestya gwarancyi rządowej. Że stanowiska fiskalnego nie może być nawet mowy o porównaniu pod tym względem obu konkurentów. Nowe towarzystwo żądało bezwzględnej gwarancyi rządu, droga Wiedeńska nietylko na siebie jej część, ale nadto przejmowała całą gwarancyę drogi Bydgowskiej i Fabryczno-Łódzkiej. Jeżeli jednak zgodzimy się, że cele fiskalne nie są jedynym miernikiem działania władzy państwowej wogóle, a budowy dróg żelaznych w szczególe, to przewaga na korzyść strony dającej dogodniejsze warunki finansowe nie będzie tak wielką, wobec ważnych korzyści przemawiających za stroną przeciwną. Jeżeli nowa droga ma naturalne warunki pomyślnego rozwoju, to nie potrzebujemy obawiać się gwarancyi, która będzie tylko martwą literą. Jeżeli przeciwnie, istnienie drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej bez zewnętrznego zasiłku nie jest możliwe, to i w jednym i drugim razie musi się znaleźć źródło tego zasiłku i to źródło z funduszów ogółu. Rząd, płacąc gwarantowany dochód, czerpie dopłatę z ogólnych dochodów państwowych; towarzystwo, któreby zrzekło się gwarancyi, ściągnęłoby ją od publiczności wskutek podniesienia opłat przewozowych, zarówno na jednej jak i na drugiej drodze, ku czemu monopol jednego towarzystwa dałby wszelką możność. Drugi zaś ten sposób pokrycia niedoborów z eksploatacyi ma tę złą stronę, że obciąża głównie jedną okolicę i szkodzi rozwojowi jej przemysłu. co znów wprost jest przeciwne zadaniom rządu, który powinien popierać rozwój miejscowych sił ekonomicznych i to nawet środkami ogólnymi. Jeżeli tyle okolic w państwie korzysta z dróg żelaznych gwarantowanych, i podnosi swój stan ekonomiczny przy pomocy całości państwa, dlaczegóżby ta, w której przebiegać będzie kolej Iwangrodzko-Dąbrowska i Warszawsko-Wiedeńska, poparcia tego miała być pozbawiona?

Że zaś okolica ta więcej od znacznej ilości innych zasługuje na opiekę, jest, zdaje się, rzeczą bezsporną. Dlatego też ze wszystkich linij nowych dróg żelaznych, projektowanych ostatnimi czasy w Królestwie Polskiem, droga Iwangrodzko-Dąbrowska największe ma znaczenie pod względem ekonomicznym. Przechodzi ona przez okolice górnicze, jedyne u nas, a jest rzeczą pewną, że rozwój żadnego rodzaju przemysłu nie jest w tak wysokim stopniu zależny od środków komunikacyi, jak górnictwo. W kopalniach najprzód znalazły zastosowanie drogi żelazne, a dziś nigdzie przemysł górniczy bez kolei postępować nie może. Według obliczeń warszawskiej podkomisyi, ustanowionej do rewizyi dróg żelaznych, produkcya węgla Dąbrowskiego wzrosłaby znacznie, gdyby ułatwiony został jego przewóz wgłąb Cesarstwa. Mógłby on być używany na wszystkich drogach Królestwa; a także na kolejach W. Petersburskiej do Dynaburga, na Brzesko-Grajewskiej, częściowo na Moskiewsko-Brzeskiej i Brzesko-Kijowskiej. Następnie, i to najważniejsze, nowa droga podniesie przemysł żelazny, którego doniosłość obecnie, właśnie dla braku kolei, bardzo jest niewielka. Skorzystają na niej również kopalnie marmuru około Chęcin, i miedzi koło Kielc; podobno nawet już obecnie towarzystwo francuskie robi starania o eksploatacyę tego ostatniego kruszcu. Wreszcie cząścią swą choć nieznaczną, około Jędrzejowa i Gniewęcina, nowa droga przejdzie przez okolicę urodzajną i od wszelkiej komunikacyi kolejowej bardzo oddaloną.

Z tych wszystkich powodów uważamy zatwierdzenie drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej za fakt niezmiernej wagi dla naszego gospodarstwa krajowego, a oddanie jej nowemu konsorcyum za rzecz pomyślną. Nie posuwamy się zresztą w tym ostatnim względzie za daleko; nie uważamy bynajmniej, jak to dało się tu i owdzie słyszeć, ażeby sam fakt starania się i uzyskania koncesyi dał komukolwiek tytuł do publicznych hołdów i wdzięczności. My w fakcie tym widzimy tylko dążenie do wzięcia w swoje ręce przedsiębiorstwa, przedstawiającego pole do korzystnego użycia kapitału. Co najwyżej możemy mieć nadzieję, że wybrane konsorcyum z większem od innego pożytkiem dla ogółu rzecz przeprowadzi, lecz jest to tylko nadzieja, przypuszczenie, które zarówno dopisać jak i zawieść mogą. Zawcześnie więc przesądzać fakty i uznawać zasługę tam, gdzie jej jeszcze niema, a zresztą w opiewanym stopniu

---

— Lecz co zamierzasz czynić dalej? zapytała dziewica, zatapiając w nim czarowne źrenice.

Kancelista patrzył na nią przez chwilę wzrokiem namiętnym; nagle ukląkł przed nią, ramiona wyciągnął i zawołał z zapałem: kocham cię!!!

W mgnieniu oka rozwinął się wzorzysty wachlarz w ręku czarodziejki i zasłonił przed nim jej śliczną twarzyczkę.

Na wachlarzu tym ukazał się obraz rozkosznej krainy, wykonany tak wybornie, że zupełnie podobnym był do rzeczywistości, przewyższając ją jednak łagodnością i wdziękiem swych barw. Rozrzucone grupy drzew tak plastycznie występowały z obrazu, że prawie można było słyszeć szum ich rozłożystych koron i szelest trzęsących się liści; u stóp ich drżała rosa na listkach trawy i w nawpół otwartych kielichach pierwiosnków; przez gładkie różnokolorowe kamyki skakał potok do parowu. Festony mgły porannej zawisły na jodle i brzozie, opasując ściany fantastycznych skał, a w oddali zwolna wznosiła się nad widnokrąg pałąca tarcza słoneczna...

W zachwycie spoglądał kancelista na tę piękną krainę; zdało się mu, że perłowy rąbek wachlarza tworzy fantastyczne wrota do niej, i że zachwycająca dziewica o różowej maseczce miłośnie wyciąga doń z obrazu ramiona, a on wstępuje tam i śpieszy w upojeniu w jej objęcia, pod cień tych drzew, owiany wonią tych kwiatów, oblany promieniami wschodzącego słońca...

Bęc! — poczuł lekkie uderzenie po ramieniu. Przyszedł do siebie i ujrzał się w grocie: przed nim stało dziewczę, klepiąc go po ramieniu złożonym wachlarzem, i mówiło z uśmiechem: Mnie kochać? — Ach, już zapóźno, mój drogi! Nie zdasz się już na ognistego kochanka. Nie jesteś już przystojny: ciało twe nie ma hartu i siły, dusza świeżości, głos dźwięku, oczy twe — zamglone, zagasłe, a włosy przerzedzają się. Nie, nie jesteś już do kochania! A spójrz tylko! ja, młodość twoja, nie jestem już piękną rzeczywistością: jam czczy sen — myśl człowieka, który w noc zapustną zapomniał o straconej młodości swej i zawiesił mi to łzę u czoła, a na całem ciele błyskotki swej zwietrzałej wyobraźni; jestem maska — nic więcej. Signorina Gioventu, panie, signorina Gioventu. Addio!

Skłoniła mu się figlarnie i, poskoczywszy jak sarna, znikła w pstrym tłumie masek.

Jak szalony, rzucił się kancelista za nią. Jedna myśl przejmowała nawskroś jego duszę: Muszę ją mieć! Bez niej żyć nie mogę!

Jak wściekły biegł wśród masek. Lecz napróżno rozognionym wzrokiem szukał między niemi signoriny Gioventu. Obfite krople potu występowały mu na czoło.

Sięgnął do zanadrza; wspaniała sakiewka błysnęła mu w ręku. Rozsunął ją i wyjął garść banknotów. Weźcie wszystko! — wołał do otaczających. Tylko wróćcie mi ją, wróćcie mi signorinę Gioventu!

— Patrzcie co za błazen — wołano — za pieniądze chce kupić sobie młodość!

Wściekłość w nim wzrosła. Sięgnął do boku, gdzie w wspaniałej pochwie wisiał pałasz olbrzymi. Wyciągnął go i machnął nim nad rojem szyderczo, ironicznie śmiejących się masek.

Huczniejszy niż poprzednio śmiech zatrząsł salą. Tysiące palcy wyciągnęło się

być nie może. Cieszmy się więc nadzieją i czekajmy.

CELE OBECNEGO RUCHU EKONOMICZNEGO.

I.

W jednym z pierwszorzędnych przeglądów niemieckich (*Unsere Zeit*) napotykamy pod powyższym napisem gruntowną pracę p. Adolfa Samtera, której treść zajmie czytelników *Prawdy*.

Cele działalności ekonomicznej są przedmiotem nader wielkiej rozmaitości zdań. Niedawnymi czasy jeszcze za cel gospodarstwa społecznego uważano jedynie wytwarzanie bogactwa; dziś nawet jeszcze znajdziemy wielu wyznawców tego przekonania. Wiemy już jednak, że nie bogactwa są podstawowym przedmiotem i celem gospodarstwa społecznego, ale sam ich gospodarz—człowiek; tak iż w sprawach ekonomicznych teraz bogactwo stoi na planie dalszym, człowiek zaś, wytwórca, pracownik—na pierwszym.

Zadaniem i celem przeto gospodarstwa społecznego jest zapewnienie jednostkom możności zaspokojenia ich potrzeb, odpowiednio do ich działalności i stanowiska oraz do warunków kultury danego czasu. Stopień owej możności zależy przedewszystkiem od działalności osobnika i usług, jakie ona oddaje społeczeństwu. Dochód, za pomocą którego nabywa przedmioty niezbędne, musi otrzymywać przez pracę. Ona więc jest przyrodzonym punktem wyjścia dla zaspokajania potrzeb i czynnego dla nich gospodarstwa społecznego.

Praca jednak nie jest jedynem źródłem dochodu; obok niej staje własność, znajdująca w tem swe uzasadnienie, że jest niezbędną dla wytwarzania środków zadowolenia. Bez własności nie jest ona wstanie wytwarzać. Niektóre jednostki mogą wprawdzie zdobywać sobie samą pracą potrzebny dochód, ale jedynie przy pomocy innych, własność posiadających.

Własność przytem nietylko, jako czynnik gospodarstwa, jest niezbędną; stanowi dźwignię dziejową kultury. Ludzie muszą i powinni pracować, ale społeczeństwo nie potrzebuje być koniecznie domem roboczym. Kultura umożliwioną jest tylko wtedy, gdy pojedyńczy mogą wyzwolić się od ciężarów pracy.

Źródłami przeto dochodu są praca i własność. Pomiędzy jednak pracą i własnością nie może być nieprzebytej przepaści i dochody ich winny być odpowiednio ustosunkowane.

Nie dosyć jednak, aby prawo w zasadzie zniosło przedział pomiędzy pracą i własnością, musi prócz tego istnieć faktycznie odpowiedni ustrój społeczny. Wtedy bowiem tylko, gdy każdy pracujący może przez pilność, energię i oszczędność dojść do własności i gdy ta daje dochód odpowiedni bez uciemiężenia pracowników, wtedy ona jest korzyścią społeczną a nie przywilejem.

Dochody z pracy i własności mogą być bardzo rozmaite; ludzie bowiem tak fizycznie jak i duchowo przedstawiają wielką rozmaitość. Jedni żyją wśród okoliczności pomyślnych i ożywczych, drudzy trudnych i uciążliwych. Wszystko to oddziaływa na wysokość dochodów i wywołuje wielkie jednostkowe różnice. W interesie społeczeństwa leży niesienie pomocy upadającym pod ciężarem stosunków i starania o ciągłą ich równowagę. Przeciętny dochód z pracy i własności nie może nigdy przedstawiać zbyt wysokich różnic, jeżeli podstawy społeczne mają być utrzymane w całej sile.

Nietylko jednak stosunek dochodu z pracy i z własności powinien być w równowadze, niemniej także zaspokojenie potrzeb ogółu powinno być odpowiednie stanowi kultury w danym czasie. Braki i anormalności w tym względzie zwykle zbywane są tem, że masom ludowym było dawniej gorzej i że więcej wymagać obecnie nie powinny. Jest to pogląd najniesłuszniejszy; ludzkość bowiem ciągle postępuje i dąży do ulepszeń; przeszłość nie może być miarą bezwzględną teraźniejszości. Dochód czy to z pracy, czy z własności, powinien być dla wszystkich klas ludności, choćby najniższych, wystarczającym i niekrępowanym przez stosunki przeszłości, których bynajmniej za ideał uważać nie można.

Rozumie się, że skala musi tu być zawsze względną. Życie bowiem społeczne jest ciągle poruszającym się prądem. Badacz natury ma do czynienia przeważnie z danemi stałemi, dającemi się ściśle określić; przeciwnie rzecz się ma z instytucyami ludzkiemi w umiejętnościach społecznych. Tutaj określanie czegoś bezwzględne jest niemożliwem. Oznaczenie np. dochodu wystarczającego dla utrzymania rodziny na 500 rubli może w danym czasie być dostatecznę; po upływie jednak lat kilku cyfra ta okaże się zupełnie nieodpowiednią. Zresztą co dla jednego jest wystarczającem, dla innego może być niedostatecznem.

Widzimy więc, że zasadniczą kwestyą gospodarstwa społecznego jest unormowanie stosunków dochodowych; od nich bowiem zależy zaspokojenie potrzeb jednostek społeczeństwa. Dochód minimalny w danych warunkach czasu jest bezpośrednim celem każdego osobnika. Jeżeli większość ludu pod tym względem znajduje się w położeniu niezadowalniającem, natenczas stan społeczeństwa jest chorobliwym. Zadosyćuczynić potrzebom ogółu w tym kierunku, jest głównem zadaniem dobrego gospodarstwa społecznego.

Dotychczasowa szkoła ekonomiczna i niektórzy jej przedstawiciele obecni nie przywiązywali dostatecznej wagi do podziału dochodów, stawiając na pierwszym planie sprawy wytwarzania bogactw. Bezwątpienia wytwór (produkcya) i wymiana (handel) są niezbędną podstawą zyskiwania środków zaspokojenia potrzeb, na sprawach tych jednak zatrzymywać się i poprzestawać nie możemy.

Trzeba pamiętać o tem, że sprawy wytworu bogactwa i ustosunkowania dochodów nie są identyczne i że często zachodzi między niemi starcie, przybierające bardzo szerokie rozmiary. Tania praca oddaje wielkie usługi wytworowi, ale ustosunkowanie dochodu jest przez to zwichnięte. W przeszłości a w pewnym stopniu i obecnie jeszcze widzimy wytwór górujący i przygniatający pracę; zadaniem dzisiejszej nauki gospodarstwa społecznego jest zbadanie tych stosunków gruntownych i wynalezienie odpowiednich norm równowagi.

Państwo nowożytne, złamawszy polityczne systemat feudalny, zachowało jednak, w znacznej części jego ustrój gospodarstwa społecznego, który żelazną dłonią zaciężył na ludności; wielka rewolucya francuska dopiero była dniem narodzin nowoczesnych reform ekonomicznych, które noszą też na sobie piętno jej wolności.

Różnica pomiędzy obecnym systematem ekonomicznym a przeszłym, oprócz wprowadzenia swobody, leży i w tem jeszcze, iż teraz przeważną rolę gra gospodarstwo prywatne a nie, jak dawniej, zbiorowe. Ogólna bowiem wolność wyswobodziła też jednostkę pod względem ekonomicznym.

Systemat gospodarstwa prywatnego w naszem stuleciu oddał produkcyi ogromne usługi. Wytwór bogactw uczynił olbrzymie postępy, przez co też ta strona gospodarstwa mylnie została uznaną za najważniejszą. Gdyby tak było w istocie, gdyby bezwzględny rozwój wytworu stanowił alfę i omegę celów gospodarstwa, nie pozostawałoby nic innego, jak tylko nieruchomie utrzymywać go w stanie obecnym, niedopuszczając zmian żadnych.

Faktyczne jednak położenie rzeczy, zbadane głębiej w połączeniu z naturą człowieka, wskazuje, jak to już na wstępie zaznaczyliśmy, że w gospodarstwie społecznem głównym czynnikiem jest sam czło-

---

ku pałaszowi. Kancelista mimowoli spojrzał nań sam i na lśniącem ostrzu przeczytał wyraźny ze złotych liter ułożony napis: „Abraham Taiteles, ulica Wesoła, Nr. 33.“

Pałasz wypadł mu z ręki i zadzwonił na marmurowej posadzce. Zgnębiony kancelista twarz ukrył w dłoniach.

Gdy po niejakiej chwili spojrzał dokoła, o radości! — ujrzał piękną signorinę, siedzącą na marmurowej ławeczce. Z otwartemi ramiony posunął się ku niej. Lecz wysoka, blada postać w czarnej sukni z pargaminowem pomarszczonem obliczem i ogromną siwą peruką zastąpiła mu drogę.

— Kto jesteś? — zawołał gniewny.

— Jestem opiekunem tej pięknej dziewczyny—odrzekło domino ochrypłym głosem. Imię moje Rozum. Wzywam cię, śmiałku, w imię praw moralności i natury, stłum w sobie tę nieszczęsną namiętność, odstąp od zuchwałych swych zamiarów. Powróć do swego powołania, pracuj, używaj z umiarkowaniem darów życia, a będziesz szczęśliwy przez poczucie użyteczności swej dla społeczeństwa. Ja na wieki oddzielam cię od tej pięknej dziewicy. Tylko po mym trupie dostać się możesz do niej!

— Precz, czarno maro! — krzyknął kancelista i, powaliwszy czarne domino na ziemię, przyskoczył do signoriny Gioventu i namiętnie pochwycił ją w swe objęcia.

Gdy uczuł w swych ramionach tę śliczną, pełną życia istotę, gdy usłyszał na swej piersi wyraźne tętno jej serca, ogień młodości i wesela przejął go na wskróś. Oczy jego zaiskrzyły się, rumieniec zakwitł na licach, muskuły zadrgały siłą olbrzyma. W rozkosznym wirze tańca sunął się z nią po sali. Maski rozstąpiły się, tworząc naokoło olbrzymi, różnobarwny wieniec. A w wieńcu tym leciał on z nią, nogami nie dotykając posadzki, mimo muzykusa, wynędzniałego jak śmierć, który z głową pochyloną bez chwili odpoczynku długiem smyczkiem energicznie krajał struny swych skrzypiec.

Muzyka coraz więcej nabierała dziarskości, taniec się coraz bardziej ożywiał; postacie masek dokoła spływały się w jeden uroczy barwisty sznur, muzykus coraz fantastyczniej wywijał swą długą chudą ręką i coraz żywiej kiwał łysą głową. Upojony rozkoszą kancelista głowę nieco pochylił, i usta jego zapałały żądzą niepohamowaną, dotknąwszy świeżych, różowych usteczek signoriny Gioventu...

* *
*

W tej właśnie chwili stał jakiś podtatusiały jegomość z jowialnym wyrazem twarzy przed jednem z łóżek w szpitalu i, poważnie brząkając w tabakierkę, badawczo spoglądał na rozognioną twarz chorego kancelisty. Po chwili rzekł do otyłej służącej: „Do rana zaledwie dożyje.“

Wtem zadrżały usta umierającego, całe jego ciało zatrzęsło się w gorączce, a z ciężko oddychającej piersi wydarł się głęboki jęk: „Addio, addio, signorina Gioventu!“...

Przekład z czeskiego

F. Now.

KONIEC.

wiek, a celem ostatecznym i najważniejszym jest zaspokojenie jednostkowych i zbiorowych potrzeb ludzkich, co znów polega na właściwem ustosunkowaniu dochodów. Musimy przeto zbadać, w jaki sposób nowy systemat gospodarstwa prywatnego, jednostkowego oddziaływa na rozkład dochodów. Produkuje się obecnie dosyć i nie brak ani płodów surowych, ani kapitałów, ani rąk roboczych; produkcyi zatem popierać i rozszerzać więcej nie potrzeba. Potrzeba tylko uregulować jedno koło tej wielkiej machiny, a mianowicie ustosunkowanie dochodów.

Wolny systemat gospodarstwa prywatnego doprowadził do nagromadzenia wielkich bogactw w rękach niewielu jednostek, zostawiając wielkie masy ludu na ich łasce. To spowodowało, że uderzono na ów systemat i za ideał postawiono ustrój przymusowy, w naturze bowiem ludzkiej leży chęć wpadania z jednej ostateczności w drugą. Jak wiemy już, raz z systematu ekonomicznego, związkowego wieków średnich przeszliśmy do atomistycznego, jednostkowego, obecnie znów objawia się dążność do systematu związkowego na wielką skalę.

Systematu jednostkowego usuwać na razie niepodobna, naprzód dla tego, że oddaje on ogromne usługi wytworowi, powtóre że nowe systematy w zastosowaniu i rezultatach jeszcze należycie wypróbowane nie zostały. Każdy systemat, dla rozwinięcia się i zapanowania, musi dojrzeć. Systemat gospodarstwa gminnego i państwowego, jakkolwiek częściowo zwolna wprowadzany w życie, pod przewagą panującego obecnie systematu jednostkowego nie rozwinął się nigdzie w całej pełni. Nie chodzi zresztą wcale o absolutne ich przeprowadzenie, lecz jedynie, jak się trafnie wyraził Adolf Wagner: *skorygowanie i dopełnienie błędów i niedostatków systematu gospodarstwa jednostkowego odpowiednio zastosowanym systematem—zbiorowego.*

Uznając tę trafną zasadę, widzimy, że krwawe często walki na polu gospodarstwa jednostkowego do pożądanej reformy bezpośrednio doprowadzić nie mogą. Chodzi tu bowiem jeszcze o sprawy ogólniejsze i szersze, międzynarodowe, jak kwestya wolnego handlu i systematu celnego, ciągle się zaogniająca. Nie jest to sprawa zasady, lecz korzyści. Spożywcy oświadczają się naturalnie za wolnością handlu; idzie im bowiem o zaspokojenie potrzeb jaknajtańsze i jaknajłatwiejsze. Wytwórcy, którym chodzi o osiągnięcie jaknajwyższej ceny za wyroby, pragną znowu ceł ochronnych, aby im zagranica w tym względzie nie przeszkadzała.

Gdyby w społeczeństwie wszyscy byli konsumentami, rozwiązanie kwestyi byłoby bardzo proste na korzyść wolnego handlu. Ponieważ jednak większa część społeczeństwa (75—80%) jest ekonomicznie wytwórcza i czynna, przeto większość jednostek składa zarazem producentów, przeto idzie im nietylko o wytwór, ale i odpowiedni zeń dochód. Przy dużych dochodach każdy chętnie drożej zapłaci. Chodzi więc o to głównie, czy rozkład dochodów lepszym jest przy wolności handlu, czy przy cłach ochronnych, a rozstrzygają o tem specyalne stosunki danego narodu w pewnym oznaczonym czasie.

Orzec, że dla każdego narodu i zawsze lepszym jest wolny handel, albo też cła — bezwzględnie niemożna.

Dla narodów, posuniętych wysoko w gospodarstwie społecznem, jest rzeczą bardzo trudną obranie właściwej polityki celnej, której pomyłki celne mogą im wielką szkodę przynosić. Środek ciężkości gospodarstwa powszechnego leży głównie w odpowiedniem ustosunkowaniu gospodarstw jednostkowych do zbiorowych. Najbliższym celem obecnym gospodarstwa społecznego jest przejście z ekonomiki jednostkowej, obecnie wszechwładnie panującej, do systematu, mającego na celu szersze związki społeczno-ekonomiczne.

Gdy nawet majątek jednostki przynosi samoistny dochód, często korzystnem jest łączenie się jej z innemi dla wytworzenia jeszcze potężniejszej siły produkcyjnej i zyskania więcej współdziałających. Wielkie przedsiębiorstwa spółkowe są coraz częstsze, natomiast jednostkowe coraz rzadsze; te ostatnie panują przeważnie w drobnym przemyśle, rzemiosłach i handlu cząstkowym. Najwybitniejszym przejawem w kierunku wielkich zbiorowych przedsiębiorstw, wymagających do kierownictwa dużej ilości osób i olbrzymich nieraz kapitałów, są tak zwane towarzystwa akcyjne. Ale i w szczuplejszym zakresie stowarzyszeń ludowych znajduje zasada gospodarstwa zbiorowego szerokie zastosowanie, jakkolwiek pod tym względem napotykamy dopiero słabe początki. Wzmiankowane wyżej objawy gospodarstwa zbiorowego zostały już nawet gruntownie uregulowane przez prawodawstwo i cieszą się należytą opieką państwa. Główny nawet ruch i prąd ekonomiczny najnowszy, płynie właśnie w kierunku szerokiego rozwoju towarzystw akcyjnych i stowarzyszeń ludowych, przez państwa cywilizowane silnie popieranych. Zasadniczą bieżącą kwestyą ekonomiczną w tej mierze jest pytanie: czy związki te mają być dowolne, czy też przymusowe. Systemat przeważnie panujący dotychczas domaga się pozostawienia zupełnej swobody. Domaga się tego niemniej zasada wolności osobistej obywateli, na której opiera się cały wogóle ustrój społeczno-polityczny państw nowożytnych. Przejście od gospodarstwa jednostkowego do zbiorowego powinno być pozostawione działaniu stosunków i potrzeb naturalnych; inaczej doprowadziłby mogło do sztucznej aglomeracyi lub do korporacyjnych średniowiecznych urządzeń, na których skruszenie zużyto tyle czasu i wysiłków. Ustrój zbiorowy rzemiosł, który właśnie przechował w sobie najwięcej przestarzałych form średniowiecznych, potrzebuje najwięcej reform ze względu na nowoczesne wymagania gospodarstwa narodowego, a mianowicie: co do uczniów czyli tak zwanych terminatorów, uregulowania stosunku czeladników do majstrów, urządzenia kas wsparcia i pożyczek, popierania stowarzyszeń produkcyjnych, poprawy odnośnego prawodawstwa rękodzielniczego i handlowego.

W dziedzinie wielkich przedsiębiorstw i wielkiego przemysłu paląca sprawą jest uregulowanie stosunku przedsiębiorcy do wielkich mas robotników. Trudno przewidzieć pomyślny koniec owej olbrzymiej walki pomiędzy biednemi masami pracowników a bogacącymi się szybko przedsiębiorcami na wielką skalę. Ze względu jednak na tę okoliczność, że silne rozjątrzenie, jakie owa walka wykazuje tu i owdzie, wypływa głównie z natury systematu gospodarstwa jednostkowego prywatnego, zaradcze przeto środki w tym kierunku polegać muszą na jaknajszerszem wprowadzeniu w te sfery zasady gospodarstwa zbiorowego z udziałem stopniowym mas robotniczych, na przygotowaniu gruntu wytwórczego i takich warunków, na których przedsiębiorcy i pracownicy przyszłości mogliby sobie przyjaźnie podać dłonie.

Po usamowolnieniu robotników i zerwaniu krępujących ich więzów, po przeprowadzeniu wszędzie zasady wolności pracy, wzrosła potężnie świadomość tych mas roboczych, ich praw społecznych i celów, ale mimo swobody kontraktowania się w obecnych warunkach ekonomicznych, ogólnych, klasy z trudnością prowadzą twardą swą walkę o byt; stanowisko bowiem ekonomiczne przedsiębiorców zapewnia im znakomitą przewagę. Mogą oni bowiem wolność swą wyzyskiwać nierównie szerzej, potężniej i korzystniej niż biedny, ciemny częstokroć, robotnik. To przyczyniło się do zasiania silnej niezgody i zatargów pomiędzy dwiema klasami: przedsiębiorców i pracowników.

Ta rozległa i bolesna sfera nowoczesnych stosunków ekonomicznych przedstawia dla celów i zadań ekonomiki dzisiejszej najpiękniejsze i olbrzymiego znaczenia pole. Przywrócenie zakłóconego pokoju w świecie wielkiego przemysłu, wynalezienie podstaw związku przyjaznego pomiędzy robotnikiem i przedsiębiorcą — oto wspaniałe zadanie dla współczesnego ekonomisty.

Chodzi tu nie tylko o materyalne podstawy i warunki zgody, ale również o moralne i polityczne względy. Równouprawnienie ekonomiczne obu stron i utworzenie odpowiednich instytucyj, izb i urzędów robotniczych, mających na celu opiekę i popieranie interesów klas pracujących, staje się pierwszą potrzebą chwili, najpierwszem i najważniejszem zadaniem nowego gospodarstwa społecznego.

S. Cz.

ZNACZENIE DOŚWIADCZEŃ DLA NAUKI.

Na drugiem ogólnem zebraniu siódmego kongresu lekarzy w Londynie profesor Virchow przemawiał publicznie, broniąc zdania wypowiedzianego już dawniej, na zjeździe medyków w Amsterdamie (1879), że „ci wszyscy, którzy powstają przeciwko wiwisekcyom, nie mają najmniejszego pojęcia o nauce i nic zgoła nie wiedzą o tem, ile zawdzięcza ona doświadczeniom nad żywemi zwierzętami.“

Zdanie to — powiada Virchow — podzielają nietylko ci, którym rodzaj studyów każe samym robić wiwisekcye, lecz wszyscy bezwarunkowo stojący bliżej nauk przyrodniczych i medycznych; pomimo to jednak walka o wiwisekcye nie tylko nie ustała, ale nawet, rzec można, zajątrza się coraz bardziej, wymagania przeciwników wzrastają, a ostatni ich wyraz, objawił się w petycyi nowego lipskiego towarzystwa opieki nad zwierzętami, żądającej od sejmu ustanowienia prawa, aby *każdy znęcający się nad zwierzęciem pod pozorem badań naukowych, był karany więzieniem od pięciu tygodni do dwóch lat z pozbawieniem wszystkich praw cywilnych.* Nie ulega wątpliwości, że nie wszyscy idą tak daleko; nie wszyscy pragną rozstać się zupełnie z doświadczeniami na żyjących istotach; są tacy, którzy chcą jedynie pewnego ich ograniczenia, i otwarcia pracowni fizyologicznych dla członków towarzystw opieki nad zwierzętami, aby mieli tam prawo nadzoru i wskazywania metody badań.

Skreśliwszy pokrótce stan starć polemicznych i parlamentarnych o wiwisekcye, Virchow robi uwagę, że walka ta jest bardziej niebezpieczną dla nauki, niżby na pozór zdawać się mogło. Przeprowadzenie prawa o wiwisekcyach w parlamencie angielskim i rozprawy w innych sejmach nad tymże przedmiotem, są wskazówkami bardzo niepokojącemi każdego przyjaciela nauki. Z tego też względu należy, przedstawicielom wiedzy medycznej nad kwestyą tą pracować, aby dać jej szczęśliwe rozwiązanie.

Najpotężniejszym orężem jest prawda, oparta na poważnej wiedzy. Ufny w słuszność tego zdania, Virchow rozbiera szczegółowo wpływ badań doświadczalnych na postęp medycyny i dowodzi w nader pięknym historycznym rozbiorze rozwoju umiejętności lekarskich, jak każdy krok naprzód, każda zdobycz czysto naukowego, czy praktycznego znaczenia, była zawsze poprzedzaną doświadczeniem, już to na żywem zwierzęciu, już to na trupie.

Dziś wiwisekcyom usiłują przeszkadzać ludzie ciemni, powodując się w swej walce z nauką fałszywą moralnością i źle zrozumianem poczuciem słuszności. Zupełnie podobna argumentacya długo wstrzymy-

wała postęp wiedzy, gdy źle zrozumiana moralność i dziwne jakieś pojęcia o świętości trupa ludzkiego nie pozwalały badaczom sięgnąć nożem do jego wnętrza. I dziś jeszcze oddźwięk tej starej walki, w której ostatecznie pogromcą był Vezalijusz, słyszeć się daje zawsze, gdy czułostkowi rodzice zabraniają dokonywać autopsyi nad dzieckiem, lub dzieci nad rodzicami; a przecież niema już dziś na całym ucywilizowanym świecie średniowy kształconego człowieka, któryby ważności anatomii dokładnie nie pojmował. Wszystkie teorye medyczne, przed zwrotem ku anatomii powstałe, upadły i śladu po nich niema, a ten stan rzeczy stwierdza zdanie Bacona: *Quae in natura fundata sunt, crescunt et augentur: quae autem in opinione, variantur, non augentur.*

Zupełnie podobny postęp, jaki medycyna uczyniła dzięki rozwojowi anatomii, zawdzięcza ona i wiwisekcyom. Jasne umysły potrzebę ich w zasadzie pojmowały oddawna, co stwierdza dokładnie opowieść o Demokrycie z Abdery, która aczkolwiek zdaje się być tworem późniejszej fantazyi i jest zanotowaną dopiero w dziełach Harvey'a, nie mniej przeto zasługuje na powtórzenie. Ziomkowie Demokryta, widząc jak ustawicznie krajał żywe zwierzęta, posądzili go o pomięszanie zmysłów i zaprowadzili do Hipokratesa, aby tenże zajął się leczeniem go. Hipokrates jednak, pomówiwszy z Demokrytem o jego badaniach, wyrzekł do posłów, którzy go przyprowadzili, że w całej Abderze jeden tylko Demokryt ma zmysły zdrowe, a wszyscy jego ziomkowie są waryatami. Opowieść tę przytacza w swem dziele Harvey na usprawiedliwienie licznych wiwisekcyj, jakie musiał wykonać, aby dojść do swego znakomitego odkrycia o krążeniu. Bał się publikować swych doświadczeń. Wreszcie rzekł: *Utcumque sit — jacta est alea. Spes mea in amantium veritatis et doctorum animorum candore sita*, i zdecydował się przyznać, że „żywym zwierzętom w najrozmaitszy sposób przecinał tętnice.“ Wykazawszy dowodnie ogromne znaczenie wiwisekcyj dla całej medycyny, i nie wspomniawszy nawet o wpływie doświadczeń z żywemi zwierzętami na postępy psychologii, kończy Virchow swą mowę ustępem polemicznym, który tu w skróceniu przytaczamy. „W imię ludzkości, moralności, religii, żądają zarzucenia nie tylko wiwisekcyi, lecz wszelkich wogóle doświadczeń na zwierzętach.“ Chodzi tu o całą metodę doświadczalną, o wszystkie próby nad zwierzętami, czy nożem, czy nie nożem dokonane, jeśli tylko zwierzę przy nich cierpi. *Za kryteryum szkodliwości uważają cierpienie.* Każdy rozmyślnie zadany ból zowią torturą i powstają przeciw niej w imię religii i moralności. Podobny sposób widzenia rzeczy doprowadzić może do istotnie zadziwiających rezultatów. Wszak hodowcy psów i koni męczą je przy tresowaniu, a więc torturują — i im więc należy wzbronić hodowli i doskonalenia ras, wskutek czego dojdziemy do tego, że, tak jak w Turcyi, gromady dzikich psów bez pana wałęsać się będą po polach.

Pomiędzy przeciwnikami wiwisekcyi niektórzy posuwają się tak daleko, iż pragną, aby zupełnie nie zabijano zwierząt. Wegetaryaniści prowadzą walkę systematyczną. Seefeld [1]) pragnie zniesienia wiwisekcyi, ponieważ jednak sam jest wegetaryanistą i nie potrzeba mu mięsa — więc idzie jeszcze dalej — występuje przeciwko polowaniom. Znosi je jako środek rozrywki — uznaje jednak wówczas, gdy chodzi o obronę własnego życia. Inni pragną zniesienia wojen — z tymi jeszcze jest możliwą rozprawa — należy się tylko porozumieć co do zasad.

[1]) Alfred von Seefeld. *Alles und Neues über die vegetarische Lebensweise*, Hanower 1880.

Zdaje mi się, iż nie można zaprzeczać, że śmierć jest gorszą niż tortura. Niepodobna prawie znaleźć takiego prawa karnego, w którem by zabójstwo było karane łagodniej, niż zadawanie cierpień. Słusznie utrzymują, że każda ofiara udręczeń, może jeszcze po ich ukończeniu cieszyć się wszystkiemi jasnemi stronami życia. Mogą być wprawdzie okoliczności łagodzące zabójstwo, a obciążające udręczanie, w zasadzie jednak większej krzywdzie winna odpowiadać większa kara.

W tem wszystkiem, co dotyczy zwierząt, przeciwnicy wiwisekcyi uważają ból i cierpienie za srozsze od śmierci samej. Zabraniają oni zadawania najmniejszych cierpień zwierzętom o niskiej stosunkowo organizacyi, a pozwalają na zabijanie najwyższych tworów przyrody w celach zupełnie subjektywnych.

Niektórzy żądają nawet, aby zabijano zwierzę, które służyło do doświadczenia, a przecież ono może żyć jeszcze długo i bardzo dobrze. Gdzież logika w tem wszystkiem? gdzie moralność? Jakto! mamyż prawo zabijać zwierzę, bez najmniejszej przyczyny użyteczności publicznej, możemy spożywać jego mięso, sprzedawać skórę, zamieniać jego kości na nawóz, a niemożemy posługiwać się niem w czysto naukowych, a więc idealnych celach, lub też dla użytku publicznego, a nigdy jednostkowego, subjektywnego? Ktokolwiek daje sobie prawo zabijania zwierząt, ten czyni nielogicznie, odmawiając lekarzom prawa wiwisekcyi. Dalecy jesteśmy od tego, by twierdzić, że nadużywanie tego ostatniego prawa nie jest karygodnem. Przedmiotem dyskusyi może być jedynie nadużywanie, bezcelowa i wielka tortura, jaką częstokroć ludzie zwierzętom zadają, i której żadną miarą nie można identyfikować z cierpieniem, występującem ubocznie przy doświadczeniu. Gdyby każde cierpienie równało się torturze, w takim razie należałoby karać weterynarza, który robi na koniu operacyę w celu wyleczenia go. Wedle naszego poglądu, karygodna tortura ma miejsce wtedy, gdy zwierzęciu zadają cierpienie bez użytku i celu.

Żadnego zarzutu nie możemy czynić tym, którzy pragną, aby wiwisekcye były poddane kontroli urzędowych inspektorów, lecz *ten nadzór nie może być żadną miarą udziałem towarzystw opieki nad zwierzętami.* Ci, których więcej obchodzą zwierzęta, aniżeli nauka i chęć poznania prawdy, nie mają i nie mogą mieć w sobie ani odrobiny przymiotów, potrzebnych do urzędowego nadzoru nad sprawami naukowemi. Gdziežbyśmy zaszli, gdyby uczony, rozpoczynający w dobrej wierze nowy cykl doświadczeń, był zmuszony tłomaczyć się przed pierwszym lepszym, a następnie bronić przed urzędem, dla czego wybrał tę a nie inną metodę badania, te a nie inne instrumenty, a może jeszcze, dla czego nie przedsiębrał innego doświadczenia?

Nie! nic podobnego nie może być przedmiotem ustaw. Jak dozwolonem jest każdemu zabijać zwierzęta dzikie lub domowe, tak samo musimy mieć wolność eksperymentowania nad żywemi w celach naukowych. Co zaś do konieczności danego doświadczenia, to o tem tylko sam eksperymentator decydować może. Jeśli ma się on porozumiewać z inspektorem urzędowym co do miejsca, czasu i widzów, to jeszcze znieśćby można; lecz kierunek doświadczenia winien mu być zostawiony w zupełności. Tak my przynajmniej pojmujemy wolność nauki.

Zarzucają nam, iż wzbudzamy oburzenie w właścicielach koni, psów i kotów, którzy wyobrażają sobie, że robimy bolesne próby nad ich ulubieńcami. Podzielamy w zupełności ich oburzenie, lecz zwracamy zarazem ich uwagę, że nie żądamy wcale, aby nam oddawali swych faworytów; eksperymentujemy na naszych własnych zwierzętach — wszakże ich nie kradniemy. Chcemy tylko mieć swobodę postępowania ze zwierzętami, które do nas należą, są naszą prawą własnością i pragniemy, by nas za ciężką pracę nad nauką nie chrzczono nazwami ludzi okrutnych, niemoralnych, barbarzyńców — niemal że kryminalistów. Co do zarzutu, że wiwisekcye zagrażają chrześciaństwu, to doprawdy jest on godnym abderytów. Twierdzenie, jakoby młodzież lekarska stawała się okrutną wskutek praktyk wiwisekcyjnych, jest jak wiele innych, zupełnie nieuzasadnioną potwarzą, wymierzoną w celu podania w wątpliwość moralności profesorów wiwisekcyj.

Pomimo to wszystko — nauka nie potrzebuje się obawiać. Można do niej zastosować to, co powiedział Bacon o słońcu: *Palatia et cloacas ingreditur — neque tamen polluttur.*

Dotąd Virchow.

Podzielając twierdzenia jego co do użyteczności wiwisekcyj dla nauki, wyznać musimy, że on za słabo pojmuje i ocenia stronę moralną tej kwestyi. Gdyby mówił o prawie siły, rozumielibyśmy język jego wywodu, ale gdy mówi o prawie moralnem dręczenia zwierząt — nie pojmujemy. Virchow zapomina, że ściśle licząc, człowiek nie ma *prawa* żyć kosztem innych zwierząt, lecz tylko ma do tego siłę.

R. P.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Andrzej Frycz Modrzewski, pisarz wieku XVI, jako teolog. Napisał ks. Władysław Knapiński ś. t. k. wik. paraf. św. Krzyża w Warszawie. Warszawa, 1881, 8-a, 48 str. Odbitka z *Encyklopedyi Kościelnej*, t. XIV.

Prace Modrzewskiego, które w łańcuchu badań XVI w. stanowią tak poważne ogniwo, że pamięć o nich przeżyła autora, były badane z wielu stron: politycznej, społecznej, ekonomicznej i t. d. — jedna tylko pozostała nietkniętą, mianowicie strona teologiczna. W pasmie swoich pomysłów, autor *Komentarzy o naprawie rzeczypospolitej* przedstawił całokształtny system reformy kościelnej, którego poznanie byłoby bezwątpienia bardzo pouczającem, o ile zostało oparte na szerokiem tle badań historyczno porównawczych. Biorąc do ręki pracę ks. Knapińskiego, sądziliśmy, że ona choć w części uzupełni istniejącą dotąd lukę w naukowej naszej literaturze, że wskaże nam historyczne podstawy reformy Modrzewskiego, zobrazuje cykl jego pomysłów teologicznych w zestawieniu ze współczesnemi mu teoryami licznych reformatorów kościelnych w zachodniej Europie i u nas, słowem, że w pracy tej ujrzymy wielką reformę kościelną jednego z najgłębszych myślicieli ówczesnego świata, która systemem swym wzniosła się ponad dążenia wieku. Zamiast jednak odpowiedzi na te uzasadnione wymagania, w broszurze powyższej znaleźliśmy staranne naginanie faktów do tendencyjnie postawionego *a priori* wniosku, zamiast krytyki znaleźliśmy paszkwil... Nie tylko za życia sądzono Modrzewskiemu znosić ciągłe klucia i napaści ze strony *papistów*, jak zwykł nazywać przeciwników swoich zasad.

Dotąd zwykliśmy widzieć w Modrzewskim godnego poprzednika Bodina, z którym statysta nasz walczył zwycięzko o pierwszeństwo w dziejach nowoczesnej nauki o państwie; w jego teoryi politycznej widzieliśmy naturalne, stopniowe przejście od jasnych, lecz nieśmiałych, niepewnych jeszcze pomysłów z epoki odrodzenia do tych przedstawicieli nauki, którzy otworzyli szerokie pole nowych badań w zakresie nauk prawno-politycznych; reforma skarbowa, zasady ekonomiczne Modrzew-

skiego, jego systemat władzy administracyjnej — zjednały mu pierwsze miejsce w szeregach badaczy skarbowości i administracyi, a humanitarna jego teorya wojny zdobyła sobie u współczesnych szerokie uznanie jako gruntująca zasady prawa międzynarodowego, rozwinięte później przez wielkiego następcę Frycza, — Hugona Grociusza. Wreszcie gorąca obrona niższych warstw społeczeństwa, tak jasnym promieniem odbijająca na tle ówczesnej socyologii społecznej, oraz obrona zasady indywidualizmu i tolerancyi, przeprowadzona w szeregu traktatów treści teologicznej, ozdobiły skroń Modrzewskiego zasłużonym wawrzynem.

Nowe badania, w miarę rozszerzającej się myśli ludzkiej, dostarczały obficie dowodów dla upodstawowania naukowych zasług Frycza. Dopiero w 1881 r. uczony wikary parafialnego kościoła Świętokrzyskiego w Warszawie i kandydat świętej teologii przekonał się, że uczeni naiwnie patrzyli na Modrzewskiego przez pryzmat adoracyi i publicznie w specyalnie w tym celu napisanej broszurze zaczął się dziwić, skąd się wzięły te pochwały dla człowieka, który, zdaniem jego, bynajmniej nie był głębokim myślicielem, lecz „tylko projektowiczem“ (str. 43)! Odnalazłszy tę bryłkę czystej prawdy, uczony wikary spieszy podzielić się swą zdobyczą ze światem; ogłasza więc *orbi et urbi*, że Modrzewski dla ocalenia majątku i dla miłego spokoju wyrzekł się prawdy (?! str. 12), że pragnął zguby kościoła (str. 30), że w tym celu opracował „zdradziecki plan“ reformy kościelnej (34), że był „mędrkiem bez żadnej powagi“ (39), że niewdzięcznie jadł chleb kościelny (! 40), że charakter jego przekonań był żaden (!! 43), wreszcie odszukał dowody, że obrońca ludu w teoryi, w rzeczywistości był jego ciemiężcą. Słowem, spokojny uczony, stroniący od walki partyi, wierny do końca życia wyznawanym zasadom, humanista, występuje w broszurze naszego wikarego, jako oszust, człowiek bez charakteru, zaprzedający swe przekonania! Przykładów podobnej zuchwałości w krytyce, doprawdy, mało moglibyśmy naliczyć...

Nie będziemy szczegółowo rozbierali broszury ks. K. — byłoby to i śmiesznem i bezowocnem. Autor zapuścił kosę w cudzą łąkę i dla tego też naciął tyle chwastów, których jednak nie wahał się publicznie sprezentować, sądząc naiwnie, że świat się nie pozna na pierwszym z rzędu fałszu; o ile zaś stoi na gruncie teologicznym, któremu zresztą w broszurze swej ubogie wyznaczył miejsce, prostowanie jego tendencyjnych poglądów przekraczałoby ramy niniejszego sprawozdania. Dla przykładu więc tylko wskażemy na główne punkty jego ryzykownej wycieczki.

Ks. K. w całej broszurze przeprowadza zdanie, że Modrzewski był „na chlebie kościelnym,“ tymczasem te same źródła, których znajomością autor tak się popisuje, powinny go były przekonać o błędności tego twierdzenia. Zarzuty, jakie możnaby z tego powodu przeciwko Fryczowi skierować, odpiera decydująco list biskupa Drohojowskiego do papieża z 1556 r., w którym tenże stwierdza zupełną niezależność autora Sylw od kościoła (*Relacye nuncyuszów*, I. 27 „ipse Fricius pensionem a me nullam habet etc.). Tylko złośliwa tendencya mogła postawić obrońcę wolności przekonań pod pręgierz tak ohydnego zarzutu! Ścisłe zaś stosunki z takimi przedstawicielami kościoła, jak Uchański, których papiestwo nigdy zapewne nie policzy w poczet swych apologetów, wymownie świadczą o dążeniach Modrzewskiego. Wiadomo bowiem, że prymas był głównym zwolennikiem reformy kościelnej, przez M. obmyślonej; zresztą stosunki te nie przekraczały granic osobistej przyjaźni. Zajście z Orzechowskim w Wolborzu i wynikłą stąd polemikę ks. K. maluje zupełnie odmiennemi barwami, aniżeli, wszyscy biografowie Modrzewskiego i odnośne źródła. Ostatni zarzucają Orzechowskiemu obłudę i bronią Frycza, autor zaś idzie przeciwną drogą, wprawdzie krętą, lecz wygodniejszą. Cały charakter antagonisty, a poprzednio przyjaciela Frycza, zmienność jego przekonań właśnie „dla miłego chleba,“ powinny były wskazać baczność w ocenianiu stosunku pomiędzy nim a Modrzewskim. Ks. K. jednak nie dowierza źródłom, wątpi czy rzeczywiście wyzwanie Frycza nie zastało go w domu, a w uczonej dyspucie dopatruje drwiny ze strony Orzechowskiego (36). Autor broszury postępuje niekonsekwentnie, raz bowiem odmawia Modrzewskiemu wiarogodności zeznań, to znowu powołuje się na jego świadectwo, stosownie do tego, jak mu wygodniej, podczas gdy w badaniach biograficznych uczeni przyszli do wniosku, że głównem źródłem do poznania życia autora komentarzy są jego własne prace, w których, co do własnej osoby, odznacza się niezwykłą bezpretensyonalnością i prostotą. Ks. K. jednak więcej dowierza Orzechowskiemu. Tak np. odświeża on dawno obalony zarzut, stawiany raz tylko przez jednego Orzechowskiego, kwestyonujący pochodzenie szlacheckie Frycza. Pomijając drugorzędność tej sprawy, nie możemy nie zwrócić uwagi na charakter tego zarzutu, będący wymownym przyczynkiem do oceny pracy ks. K.

Zgodnie z przyjętą zasadą, ks. K. pominął w swym opisie całą ostatnią dobę w życiu Modrzewskiego, gdy tenże, kryjąc się przed prześladowaniem sług kościoła, tułał się po kraju, marnując swe siły, aż w końcu umarł w ubóstwie, choć z nawiasowo rzuconych zdań możemy wyprowadzić wniosek, że bynajmniej nie protestowałby on przeciwko wyrokowi śmierci na autora Sylw. „Za Pawła IV spotkała Frycza — pisze — rzeczywista i słuszna kara (! 40). Autor z krytyką i wyrokiem swym spóźnił się o całe trzy wieki — dziś nikt go nie posłucha, w XVI wieku możeby odegrał wybitniejszą rolę.

W spóźnionej nienawiści przeciw Modrzewskiemu, ks. K. odmawia mu nawet zasług co do postawionej przez niego zasady równości wszystkich wobec prawa i obrony warstw niższych (18 i 43). Przytoczona jednak w tym celu notatka z aktów kap. gnieź. nie może nas przekonać o zasadności autora: my w niej widzimy wyrok M-go, jako wójta, czy słuszny lub nie, o tem nie wiemy, bo autor przytoczył tylko skargę, ks. K. zaś upatruje w niej świadectwo gwałtu (48).

Pomijamy kwestyę, czy M. w istocie w 1546 r. był już sekretarzem królewskim, (9 str.), czy naukę luteranów poznał jeszcze na studyach krakowskich lub później (6), pomijamy wreszcie rozbiór pytania, czy plan reform Modrzewskiego był „zdradziecki,“ sądzimy, że powyższe ustępy z broszury ks. K. wyjęte, dostatecznie charakteryzują jej dążenie. Broszura ta, gdyby to było możliwem, niewątpliwie rozradowałaby w grobie Orzechowskiego, świadcząc o istnieniu dziś jeszcze jego epigonów.

Fr. Olszewski.

Literatura zagraniczna.

A de Roberty: Socyologia. (La sociologie. Paris Germer—Baillère, 1881. Bibliothèque scientifique internationale).

Jakkolwiek socyologia zajęła już pewne stanowisko śród nauk, jednakże w obecnym stanie rozwoju daleko jest jeszcze od systematycznego ukształtowania się i dopiero nowsze prace dają niejaką nadzieję, że wyjdzie ona nareszcie z dziedziny prób przedwstępnych i przestanie błądzić po omacku. Do takich prac należy świeżo wydane w Paryżu dzieło p. Roberty, które traktuje warunki rozwoju tej nowej nauki; niema ono na celu pomnożenia faktów i obserwacyj, ale raczej pragnie określić metodę i znaczenie socyologii w dziedzinie nauk. Dzieło to jest pewnego rodzaju pracą przygotowawczą — stanowi *prolegomena* dla przyszłej socyologii. Na wstępie autor oświadcza, że jest zwolennikiem filozofii pozytywnej. Podług niego, hipoteza wzięta w znaczeniu przypuszczenia, które nie może być bezpośrednio stwierdzonem, powinna być wyłączona z dziedziny filozofii, będącej metodą, za pomocą której dochodzi się do pojęcia całości wszystkich znanych zjawisk. W zakresie nauk szczegółowych filozofia powinna odegrać wielką rolę, ujawniając ukryte stosunki tych zjawisk. Podług Robertego, filozofia specyalna każdej nauki zajmować powinna miejsce pośrednie pomiędzy tą umiejętnością a uogólnieniem całej wiedzy, w tym też duchu książka jego jest zarysem, którego wszystkie części należą do filozofii szczegółowej nauki społecznej. Autor podzielił swe dzieło na cztery części: Zadanie socyologii, Miejsce socyologii w dziedzinie nauki, Podział socyologii, Kwestye złożone.

W pierwszej części p. t. „Zadanie socyologii,“ p. Roberty zaznacza przedewszystkiem, że od Augusta Comte'a socyologia ciągle poszukuje swej prawdziwej drogi i nie może na nią natrafić. Nie chodzi teraz już o obranie subjektywnej lub objektywnej metody badania, ale o oznaczenie szczegółowej metody naukowej, którą autor przeciwstawia dwom zasadniczym metodom logicznym. Przedewszystkiem socyologii brakowało dotąd historyi naturalnej społeczeństw, to jest opisowej, porównawczej i analitycznej nauk społecznych. Chociaż dotychczasowe prace nagromadziły mnóstwo materyału, jednakże rezultaty ich są niezbyt doniosłe. Dwa szczególnie obfite źródła nie były dotąd należycie badane, mianowicie: moralność czyli „hygiena społeczna“ oraz prawo—„naturalny wytwór moralności.“ Fakta społeczne, podobnie jak fakta psychologiczne dostarczyły wprawdzie względnie wielkiej ilości obserwacyj, ale z drugiej strony najmniej dotąd pozwalały dojrzeć stosunków jednorodnych, wzajemnie je między sobą łączących. Trzeba teraz z tych faktów korzystać i wyprowadzać z nich prawa.

Niezależnie od użycia dwóch metod dedukcyjnej oraz indukcyjnej, (które podług Robertego opierają się zarówno na obserwacyi) stosownie do rodzaju spostrzeżeń nauki abstrakcyjne mogą być podzielone na następujące grupy: 1) intuicyjne czyli pewnikowe, gdzie obserwacya jest naoczną (intuicyjną), jak w matematyce; 2) nauki oparte na obserwacyi prostej i zwykłej (astronomia); 3) doświadczalne (fizyka i chemia); 4) opisujące, oparte na specyalnych procesach naukowych: na klasyfikacyi, definicyi i porównaniu. Dla nauk socyologicznych, podług p. Roberty, szczególną ma wartość opisowość (description), która stanowi cechę charakterystyczną metody socyologicznej. W dziedzinie nauk biologicznych i socyalnych opisowość ta jest jeszcze obserwacyą, ale już obserwacyą przekształconą i przedłużoną, jest czemś pośredniem pomiędzy obserwacyą z jednej strony a abstrakcyą i uogólnieniem z drugiej strony. Wobec skomplikowanych zjawisk socyologicznych oraz wielkiej ilości obserwacyj, metoda ta ma ważne zadanie uszeregowania, uporządkowania i klasyfikacyi tych obserwacyj, a ta ważna czynność oparta i wspomagana przez analizę dokładną punktów stycznych oraz różnorodności zjawisk, nazywa się właśnie „opisowością“ naukową. Pomijamy długie a dość ciemne wywody i definicye nauk abstrakcyjnych i konkretnych, zaznaczając tylko, że podług p. Roberty socyologia,

jakkolwiek nauka oderwana, jest *opisową* ponieważ: 1) metoda opisowa ściśle odpowiada naturze zjawisk socyalnych, które nie są pochwytne ani dla obserwacyi ani dla doświadczalności; 2) ponieważ socyologia jako nauka jest dopiero w początkach swego rozwoju. Opisowość naukowa jest także *analizą*, której umysł poddaje przedmioty, aby ująć ich wzajemne stosunki, jestto ta sama metoda, identyczny proces myślenia, ale zwyczajnie stosujemy chętniej opisowość do przedmiotów widzialnych, analizę zaś do niewidzialnych.

Oceniwszy wreszcie w pierwszej części opinie Stuarta Milla, Spencera, Bain'a, Lewes'a, Proudhon'a i Schefflego o charakterze biologii i socyologii, p. Roberty konkluduje, że przedmiotem socyologii jest zasadnicza własność materyi, którą zwie „socyalnością“ (socialité) a wszystkie wysiłki tej nauki powinny do tego dążyć, aby ze stanu historyi naturalnej podniosła się do stanu nauki naturalnej społeczeństwa.

E. C.

(Dokończenie nastąpi).

TEATR.

Występy p. Ładnowskiego.

Jeden z krytyków angielskich słusznie rzekł, że główną treścią sztuki aktorskiej jest umiejętność i wyrazistość odtworzenia w zakresie jej środków uczuć i namiętności. Określenie to, całkiem słuszne, uzupełnić należy drugim, a jeszcze ważniejszym stopniem tej zdolności — to jest umiejętnością wiązania tych uczuć i namiętności w całości psychiczne, czyli odtworzenia charakterów. Pomijając w tej chwili cisnące się nam pod pióro uwagi psychologiczne, co do natężenia i ważności obu tych uzdolnień aktorskich, zaznaczamy tylko, że w niepospolitym stopniu posiada je p. Ładnowski, goszczący na naszej scenie. Zdolność ta przedstawia się u niego przeważnie jako pomysłowość w postaciowaniu charakterów. Kto widział kilka momentów w 3 i 4 akcie roli Otella, ten przyznać musi, że p. Ładnowski miewa czasem chwile prawdziwego natchnienia, w których zdobywa się na grę pełną nienaśladowanej prawdy i estetyczności, do jakiej drogą studyów i mozolnej roboty nad szczegółami żaden aktor dojść nie może. Siła twórcza jego jest istotnie niepospolitą. Nie sprowadza on postaci do formułek i efektów rutynicznych, ale każdą stawia odrębnie na odpowiednim gruncie psychicznym, i każdą w zakresie swych zasobów stara się oddać zapomocą odrębnych środków.

Inteligencya, wysoki smak artystyczny i doświadczenie chronią go od sztuczek i tuzinkowego efekciarstwa. P. Ładnowski posiada dziwną umiejętność utrzymania się w pewnym tonie powściągliwej estetyczności, posiada zdolność wyjaśnienia i uproszczenia niekiedy treści charakterów, tak, że gra jego zawsze jest jasną, łatwą i naturalną. Gdyby te przymioty były w sztuce aktorskiej wszystkiem, p. Ładnowski byłby prawdziwie wielkim artystą. Zupełnie jednak inaczej przedstawia się strona zewnętrzna talentu i warunków artysty, którego natura bynajmniej nie uposażyła w materyał odpowiedni wysokości podejmowanych zadań tragicznych. Głos jego, pod względem natury brzmienia, nie jest szlachetnym, stopień jego siły bardzo niewielki, tylko skala dość obszerna daje mu możność zdobycia się na względną rozmaitość brzmienia. To też strona fonetyczna gry jest najsłabszą. Wadliwe spadki głosowe, ścieśnianie samogłosek, zbyt mocne artykułowanie niektórych spółgłosek (zwłaszcza *k* i *c*), pewne zaciąganie głosem przy końcu zdań lub okresów, cały wreszcie fonetyczny tok dykcyi świadczy, że p. Ładnowski muzykalności języka naszego zupełnie nie czuje a sztuki mówienia na dobrych wzorach nie studyował. Dykcya jego ma jedną tylko, wprawdzie bardzo ważną zaletę, to jest, prawidłowe akcentowanie wyrazów mocnych, będące wynikiem inteligencyi, po za tem jednak jest manierowaną ujemnie, chociaż w zakresie tej maniery artysta umie ją nagiąć do swoich intencyi w sposób wcale zręczny. Pomimo nieświetnych warunków fizycznych, plastyka zewnętrzna artysty, zwłaszcza w rolach kostyumowych, jest mistrzowską, jego ruchy czasami także zbyt manierą nacechowane, są bogate, pełne właściwej wyrazistości, a nadewszystko zawsze szlachetne i estetyczne. Wobec tego przebaczamy artyście ubóstwo mimiki twarzy, tembardziej, że przeszła już doba owej szkoły gry aktorskiej, która chcąc wyrazić namiętności, uciekała się wyłącznie do jaskrawego ruchu mięśni twarzy.

Na tem tle ogólnem zaznaczymy teraz szkicowo wartość jego pojedyńczych tworów artysty, posiłkując się jednak w ocenie niektórych wspomnieniami dawniejszych wystąpień jego na naszej scenie, gdyż obecnie talent artysty po długiej chorobie, z początku zwłaszcza, okazywał znużenie. Na czele wszystkich ról p. Ł., stawiamy Otella, tę najtrudniejszą dla aktora z postaci Szekspirowskich, w której talent artysty wzbił się do swego szczytu. Rolę tę, pełną dzikiej siły, sprowadził on do swych warunków, złagodził, zmodyfikował pomysły poety, które straciły na dosadności specyalnego kolorytu, ale zyskały na szlachetnem, estetycznem pięknie. Od trzeciego zwłaszcza aktu geneza namiętności aż do ostatniej sceny prowadzoną była w sposób znakomity, pełen prawdy i poetyczności, a chociaż artysta świadomie obniżał ustępy energiczne, całość, w dawniejszem zwłaszcza wykonaniu, jako malowidło namiętności, była jednem z piękniejszych dzieł sztuki aktorskiej. Bardzo dobrze granym był także dawniej Romeo, który pomimo braku wdzięku w głosie, od początku do końca wrzał siłą młodości, a jego namiętność prowadzoną była bardzo trafnie od pierwszych chwil spotkania się z Julią aż do tragicznej katastrofy. O ile pamiętamy Hamleta, przedstawiony był on jasno, estetycznie, w sposób uproszczony dla pojęcia słuchaczów, oryginalny, ale artysta nie wykazał w tej roli głębszego i samodzielnego poglądu na pomysły Szekspirowskie, chociaż grał rozumnie. Na króla Leara brak mu siły i majestatyczności, bez których ta legendowa postać niema właściwego poetycznego uroku. P. Ł. dobrze pojął rolę i nadał jej piętno realne, obmyślił cały przebieg charakteru, ale wogóle nadto musiał się sztukować, chociaż w ostatnim akcie wzniósł się nagłym rzutem energii w wyżynę wzniosłości, oddając pięknie rozpacz starego króla. Ważnym błędem w tej roli było także u p. Ładnowskiego traktowanie obłąkania bez dostatecznych studyów psychiatrycznych a szczególniej motywowanie przeskoków myśli obłąkanego przeważnie na podstawie natrąceń zewnętrznych, gdy tymczasem wiadomo z psychiatryi, że proces taki zwykle odbywa się, na mocy wewnętrznego kojarzenia się bezładnie płynących pojęć i wyobrażeń. Lear wogóle, podług nas, jest najsłabszą z Szekspirowskich ról, które wogóle są tworami niepospolitego talentu. W zakresie swych środków artysta gra je świetnie, posiada istny talent zastosowania roli do skali swej możności fizykalnej, ale w stosunku do Szekspira rezultat gry jego pięknej i rozumnej jest często niewystarczający.

Kładziemy na to nacisk tembardziej, że bezwzględni chwalcy p. Ładnowskiego, biorąc wiele jego pięknych *zamiarów* za wykonanie artystyczne, dawali do zrozumienia, że jego metoda odtworzenia ról Szekspirowskich jest na naszej scenie epokową. Opinia taka nie wytrzymuje krytyki. P. Ładnowski jest artystą niezwykłej miary, ale należy do talentów, które wyrobiwszy sobie technikę czysto indywidualną, nie mogą być dla nikogo wzorem, ponieważ brak im prawdziwie poprawnej szkoły. Wysoki jego talent każe nam zapomnieć o wadach *maniery*, której naśladownictwo w pomniejszych talentach galicyjskich było po prostu rażącem. Pan Ładnowski w dziedzinie sztuki aktorskiej dokonał prawie cudu, że swoimi środkami potrafił tak estetycznie przedstawiać wielkie role Szekspira, ale gra jego nigdy nie może być normą wzorową dla odtwarzania postaci, które na całym świecie grane są z wielkim nakładem siły i tragiczności, ponieważ w dziedzinie dramatu są także najwyższemi wcieleniami psycho-fizycznej siły człowieka. Z innych ról artysty wyższą estetyczną wartość ma Perdican w dramacie Musset'a: *Nie igra się z miłością* przedstawiony z werwą, młodością, i wzniknięciem we wszystkie odcienie charakteru. Komedye salonowe niezbyt udają się p. Ł., szczególniej względnie do wymagań dystynkcyi, jakie w tym rodzaju wytworzył teatr warszawski. Jego Mortemer w *Starych kawalerach* był inteligentnie, ale dość zwykle graną figurą a rola arystokratycznego bajarda w *Miłości ubogiego młodzieńca* przedstawioną została bezbarwnie, tak, że trudno było nam odgadnąć, na jakiej podstawie wysoko inteligentny artysta mógł obmyśleć grę, która prawie nic nie wyrażała.

Nie mówiąc już o świetnych kreacyach Żółkowskiego, Modrzejewskiej i panny Popiel w dziedzinie komedyi, dramat nasz, chociaż traktowany po macoszemu, dał kilka takich arcydzieł gry aktorskiej, jak role Królikowskiego w *Zbójcach* i *Końcu Stuartów* albo panny Deryng w *Romeo i Julii i Sylwii* Mosenthala. Do takich wyżyn talent p. Ładnowskiego nie może sięgnąć z powodu wrodzonych granic możliwości, w każdym razie większość jego ról należy do wysoko artystycznych produkcyj, jego działalność zaznaczyła się zupełną samodzielnością stanowiska i szlachetnem a wytrwałem dążeniem do najczystszych celów sztuki aktorskiej. Największe jednak talenta podlegają krytyce, która nawet w arcydziełach wykazuje braki. Dziwnym rzeczy zbiegiem ze względów poza artystycznych recenzenci nasi wobec p. Ładnowskiego biją pokłony fakirów. Dlatego też wbrew zwyczajowi pisma naszego poświęciliśmy bliższą ocenę jego talentowi, tembardziej, że oddawna nie spotkaliśmy nawet usiłowania racyonalnej oceny gry aktorskiej w krytyce naszej gołosłownej, przeskakującej od polajanek do panegiryków.

S. K.

MUZYKA.

Przeszłość. — Sąsiedzi. — M. Gomółka. — A. Poliński. — Jubileusz Kochanowskiego. — Zawierucha. — Współczesność. — Z. Noskowski.

Dzieje sztuki polskiej są wymownym dowodem organicznego związku i jedności jej z całym obszarem życia społecznego. Dopóki życie narodu objawiało się w pracy rzeczywistej, oryginalnej, dopóki narodowość nasza miała jakikolwiek udział w cywilizacyi ogólno-europejskiej, dopóty i sztuka nasza (w szczególności muzyka), będąc jakby skrystalizowaną, uczuciową stroną tej pracy, może przeciwstawić imiona mistrzów, godnie rywalizujących z mistrzami zachodu. W dziełach ich odczuwamy łatwo, że są one wynikiem samoistnej pracy, która nadaje im odrębne cechy: nie jestto niewolnicze naśladownictwo rzeczy goto-

wych, w zupełności wykończonych, które wśród nowych warunków dziełom sztuki polskiej musiałoby nadać wyraz martwo urodzonych tworów — owszem, gleba polska do skarbnicy ogólnej dodaje nowe przymioty, nowe życie wlewa w postaci oryginalnej rytmiczności, melodyjności, i nadzwyczajnej śmiałości, zuchwałości niemal pod względem harmonicznym. Wiek XVI szczyci się imionami Wacława Szamotulskiego i Mikołaja Gomółki. O mistrzach tych historycy sztuki muzycznej nie wspominają nawet, nie dziwna więc rzecz, że sztuce polskiej w swych foljałowych dziełach nie poświęcają nawet jednej karteczki. Nie możemy, nie mamy nawet prawa o to obwiniać cudziemców, gdyż sami dopiero niemal w obecnej chwili umysły i serca nasze ku nim zwróciliśmy. Dzieła tych mistrzów w oryginalnych, pierwotnych wydaniach są bibliograficznemi rzadkościami; będąc białymi krukami stanowią ozdobę magnackich zbiorów, lub bibliotek przy zakładach naukowych. Dostęp do nich niełatwy, tem bardziej że rozrzucone są po wszystkich zakątkach ziemi polskiej. Wobec ironicznych przekąsów, jakimi nas tak często i brutalnie częstują sąsiedzi nasi, chełpiący się wyższością swej kultury, staje się obowiązkiem prawdziwie obywatelskim, koniecznością wydobycie na jaw tych arcydzieł i opublikowanie ich w notacyi współczesnej, dostępnej dla ogółu. Zamiast więc kłótliwego odpowiadania na zaczepki, najwymowniejszym dowodem naszej żywotności, naszych praw do istnienia byłoby krytyczne opracowanie w nowych wydaniach. Wówczas badacze zagraniczni zmuszeni byliby do zwrócenia swej uwagi na rzeczy muzyczne polskie, a najemni krzykacze mieliby jednym mniej kęsem naszej opieszałości, na której ich gończe ujadanie wprawia się.

Jubileusz Jana Kochanowskiego zwróci uwagę i na skromne, mało znane dotychczas imię Mikołaja Gomółki. Jeden z młodych, skromnych a pełnych zapału badaczy muzycznych, zebrał i sprostował wszystkie możliwe dane o życiu i pracach tego mistrza. Badaczem tym jest p. Aleksander Poliński. Komitet, zajmujący się jubileuszowem wydaniem wszystkich dzieł Jana z Czarnolasu, zamierza przy tak dobrej sposobności zająć się i Mikołajem Gomółką którego jedynem lecz wielkiem dziełem, jest muzyka (chór czterogłosowy) do psalmów Dawidowych. O by tylko fundusze starczyły na wydanie tego dzieła w całości—wszelki wybór, niedający pojęcia o całości, byłby pracą tylko połowiczną nieokreśloną, a więc bez skutku, bez wpływu. Do komitetu tego wezwany został p. Poliński, którego praca o Gomółce, drukowaną była w roku zeszłym w *Echu Muzycznem*. Życzyćby należało, aby dodatni rezultat mógł uwieńczyć tę obywatelską pracę.

W wieku XVII zaczyna się peryod naszych utrapień. Pracy w nim wiele, biedy jeszcze więcej—lecz owoców dodatnich bardzo mało. Jest to jakkolwiekbądź, tylko gorączkowa krzątanina w gorejącym domu. Na chwilę zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło—uciecha, bachanalia bezmyślna zawładnęła umysłami i uśpiła wszelką chęć do ciężkiej, jedynie zbawiennej pracy. To też gdy koniec XVIII wieku boleśnie zbudził z tego snu, trzeba było zaczynać prawie na nowo.

Sztuka muzyczna zaczyna się niemal od swych pierwocin. Pieśń z dworów i chat przenosi się udramatyzowana na deski teatralne, lecz musi przebywać ciężką pracę wyrobienia, zanim przybierze formę, prawdziwie godną sztuki dramatycznej. Pieśń nasza tułała się wówczas wszędzie — od ognisk obozowych, rozrzuconych po całej Europie, olbrzymiem echem przedostawała się do ojczystej ziemi. Dopiero w genialnych dziełach Chopina, przybrała formy sztuki europejskiej — pierwszy to dowód naszej odrębności w dziedzinie sztuki muzycznej. Chopin uprawnił istnienie żywiołu polskiego w sztuce, której granice znakomicie rozszerzył. Po nim znowu następuje cisza: brak gieniuszu, a pracy, nauki, która z talentów robi prawie genialnych, niema. Widzimy więc zdolności na każdym niemal kroku, ujawniające się licznemi dowodami samorodnego talentu, lecz przytem przedwcześnie więdnące, z przyczyny nieudolności.

Napróżno patryotyzm chciał tym karłom nadać wielkość mistrzów — nie z tego metalu wyrabiają się niespożyte posągi; glina dobrą jest tylko do zwykłego użytku. Mieliśmy więc tysiączne próby, muzyka polska miała już wszystkie działy: kameralny, symfoniczny, religijny i dramatyczny. Najszczęśliwszym z nich był dział dramatyczny: Moniuszko był jego przedstawicielem. Lecz za to inne działy, mianowicie muzyka symfoniczna była zbiorowiskiem rzeczy nieudolnych, powleczonych uczuciowym pokostem patryotyzmu. Do przeceniania tych dzieł przyczyniała się głównie zupełna prawie nieznajomość arcydzieł sztuki zagranicznej i chełpliwość narodowa. Epoka ta na szczęście już przeminęła. Doświadczenie nauczyło nas, że zdolności, których nam natura nie szczędzi, trzeba łączyć z wytrwałą pracą, nauką, że do czci, jaką mamy, dla rzeczy ojczystych, dodać trzeba poszanowanie dla zdobyczy myśli i pracy ogólnoludzkiej. Uczymy się — na owoce zaś tej nauki zbyt długo nie czekamy. Do niedawnych jeszcze czasów, wyrażenie „muzyka symfoniczna polska“ dla umysłów zimniej myślących, była definicyą rzeczy jeszcze nieistniejącej. To, co przybierało samozwańczo tę nazwę, było owocem tylko dobrych chęci i zbytniego zaufania w swej siły: myśli i siły do wypełnienia tak wielkiego zadania zupełnie brakowało. Był to peryod panowania muzyki kapelmistrzowskiej. Minął on nieporowrotnie, jak i kadzidła sławy jego przedstawicieli.

Epoka współczesna odznacza się dążnością do szczerej pracy i zamiłowaniem w niej. Doświadczenie wydobyło nas z krainy marzeń, w której nieudolność trzymała nas w zbyt długiej niewoli. Na każdym polu wiedzy i sztuki imiona polskie dosięgają wyżyn, na których od dosyć dawnego czasu rzadko przebywały. Na niwie muzycznej spotykamy się z imieniem Zygmunta Noskowskiego. Imię to, pierwej nim u nas dobiło się jakiegokolwiek znaczenia, na obczyźnie zostało należycie ocenionem i spożytkowanem. Niemcy niezbyt chętnie przyczyniają się do uznania przedstawicieli obcych narodowości — talent jednak Noskowskiego przełamał tę zaporę. Jest to jedyny w prawdziwem znaczeniu tego słowa twórca-muzyk polski w obecnym czasie. Mamy już cały szereg jego dzieł, dzieł nie drobiazgowych, lecz wielkich treścią i formą. Uwertura *Morskie Oko*, dwie symfonie, parę kwartetów smyczkowych, kwartet fortepianowy, waryacye i wiele innych rzeczy o muzyce naszej symfonicznej i kameralnej ironicznie wyrażać się już nie pozwalają. Dzieła te są wynikiem umysłu wyższego, szlachetnego, drgają przytem tętnem temperamentu czysto polskiego. Do wszystkich cech narodowych, dodaje on świetną technikę: we władaniu środkami — nauka muzyczna nie ma dla niego tajemnic. Treść muzyczna tych prac nie posiada cechy robót li tylko specyficznie muzycznych — nie, każde dzieło jego jest muzycznym poematem. Gdy słuchamy jego symfonii elegijnej (Nr. 2 Cmoll), mimowoli w umyśle naszem dźwięki te odźwierciadlają smutne losy niedalekiej przeszłości, wszystkie duchowe czynniki naszej współczesnej pracy, wyśpiewane są w niej z plastycznością eposu. Więc praca, opromieniona nadzieją zwodniczą nieraz, lecz zawsze nadzieją, więc myśl o tych, których już nie zna, żal za nimi, nareszcie ciężka droga ku lepszej przyszłości — wszystkie te uczucia w potężnej pieśni tego dzieła wyrażone, muszą znaleźć oddźwięk w sercu nieobojętnego, wrażliwego słuchacza. Doprawdy, za tyle głębokich wrażeń, za pomocą tak nikłej napozór sztuki, jaką się wydaje muzyka, nie tylko szczery oklask, lecz cześć prawdziwa twórcy należy się. Wobec fantastycznych dzieł sztuki współczesnej, dzieło to ożywczo wyróżnia się potęgą uczucia, czystego i wzniosłego jak wszystko, co odczuwa i ceni cierpienia nieszczęśliwych.

Było dla nas obowiązkiem, zwrócić uwagę czytelników naszych na tego artystę i jego dzieła. Znamy go z działalności dyrektorskiej zaszczytnie, niechaj znajomość i cześć dla jego dzieł będzie dowodem, że rozumiejących go i odczuwających wśród nas niebrak. Zapewne, że nie będzie cieszył się kuryerkową sławą wśród umysłowego pospólstwa, dla którego jest zbyt poważnym — dla miłośników ojczystej sztuki stanowić on będzie ognisko, ku któremu z ufnością zwracać się będą wszyscy, szczerze i poważnie o sztuce ojczystej myślący.

S. C.

HISTORYA WŁOŚCIAN FRANCUSKICH.

II.

Historyą tych przewrotów i stosownie do czasu układających się stosunków w życiu włościan francuskich zamierzył przedstawić w ostatniej swej pracy p. Karejew, mianowicie od zawojowania Galii przez Juliusza Cezara aż po ostatni termin emancypacyi ludu a mianowicie po rok 1789. Wszelako, jak słusznie zaznacza w swej przedmowie, dzieje włościan francuskich mają donioślejsze, bo ogólno cywilizacyjne znaczenie. Jak Bukle kreślił historyę cywilizacyi angielskiej w obrazie cywilizacyi powszechnej, jak Guizot wybrał sobie historyą Francyi dla szerszych ogólno-ludzkich wywodów, podobnież studya historyczne prof. Karejewa nad stosunkami włościan francuskich, w rozmaitych epokach społeczno-politycznych, mają donioślе znaczenie dla powszechnej historyi ludności starego świata. „W historyi włościan francuskich znajdujemy odbicie epok, które przeżyli rolnicy innych krajów Europy. Tutaj najprzód rozwinął się system at feodalny. Tutaj, na gruzach feodalnego ustroju, powstała absolutna monarchia, jakiej nie wykazują nam dzieje na zachodzie od czasu upadku cesarstwa rzymskiego. Tutaj ozwało się pierwsze hasło oswobodzenia rolnika na stałym lądzie Europy w czasach wojowniczych. To, co dokonywało się w innych krajach Europy, spełniło się we Francyi wcześniej i można powiedzieć wszechstronniej. We Francyi połączyły się z sobą te wszystkie pierwiastki, które w innych krajach objawiają się oddzielnie, a stąd niedogodnemi są dla studyów w zakresie wzajemnego oddziaływania na siebie. Nareszcie, nie trzeba zapominać, że terytoryum dawniej Galii było głównem polem walki rzymskich i germańskich pierwiastków, z których powstała cywilizacya średniowieczna, a to, co się tu wytworzyło, przenosiło się w dalekie okolice Europy, w miarę tego, jak one wchodziły w skład monarchii Karola Wielkiego. W Niemczech i we Włoszech np. stosunki włościańskie zaczęły odróżniać się od sytuacyi włościan francuskich dopiero od połowy XII wieku.“

Zdaniem naszem, stanowisko włościan w czasie i miejscu rozpatrywanem być może i powinno z trojakiego punktu widzenia rzeczy, a mianowicie prawno-państwowego, socyalno-politycznego i ekonomicznego. Chociaż praca p. Karejewa jest głównie badaniem historycznem, to przecież poli-

czoną być może do szeregu dzieł, usiłujących wykazać ścisłą łączność faktów historycznych z ekonomicznymi objawami danego społeczeństwa. Widnieje z niej bowiem oczywiście, że cały szereg ekonomicznych warunków decydował o prawnym stosunku włościanina do zagospodarowanej przez niego ziemi a tem samem o społecznem i państwowem stanowisku tej licznej warstwy narodu. Tym stosunkom zmieniających się potrzeb ekonomicznego bytu zawdzięczamy cały zastęp rozmaitych stopni zależności człowieka od człowieka i człowieka od zagospodarowanej przezeń ziemi.

Nie możemy tu szczegółowo przedstawić losów włościaństwa francuskiego. Pragniemy jedynie zaznaczyć ogólne cechy położenia społecznego tej warstwy narodu w rozmaitych epokach wobec przewrotów powolnych i gwałtownych, jakim podlegał naród francuski od czasu upadku cesarstwa rzymskiego aż po dzień oswobodzenia ludu i równouprawnienia wszystkich stanów. A przedewszystkiem, jak to już wyraziliśmy wyżej, chcemy szczególniej podnieść ten wpływ stosunków ekonomicznych na los włościan francuskich, który niedość może specyalnie uwzględnił wspomniany przez nas autor, tak w cytowanym powyżej, jak i w swem poprzedniem dziele, wydanem w Moskwie w 1879 r. p. t.: „Krestijanie i Krestijanskij wopros w posliedniej czetwierti XVIII wieka.“

Historya włościan francuskich do wielkiej rewolucyi 1789 roku przedstawia się jako nieprzerwane pasmo ucisku i przygnębienia, którego doznawała nader liczna warstwa narodu ze strony klas uprzywilejowanych. Zmieniała się forma ich zależności, zmieniał się nawet stopień, w jakim się ów ucisk objawiał, zmieniały się osobistości, którym włościanin podlegał, ale los chłopa francuskiego pozostał zawsze jednakowo opłakania godnym. Szarpano się o przywileje, toczono zawziętą walkę, której koszta chłop podwójnie opłacać musiał. Ścierające się, częstokroć nawet w krwawym boju, żywioły niszczyły niemiłosiernie byt pracującej klasy rolników, a następnie wygrywająca strona starała się co najprędzej zużytkować zwycięstwo dla sowitego odzyskania poniesionych wydatków i zapewnienia sobie spokojnego bytu kosztem zwalenia ciężarów państwowych i prywatnych na barki włościanina. Zarówno wojna jak pokój ciążył na ramionach tego, który pracował nad produkcyą najniezbędniejszych środków egzystencyi ludzkiej.

Również nieznaną jest historya średniowiecznych wojen, których pierwszą zasadą było burzyć sioła i ciemiężyć spokojną ludność wiejską, osiadłą na przeciwnika gruncie. Jeżeli społeczność średniowieczną przedstawimy sobie jako zlepek terytoryalnie i politycznie niezawisłych jednostek, z których każda prowadzi politykę własną, wypowiada wojny i zawiera pokój, władzę sądownictwa i nieograniczonego nakładania podatków posiada, wtedy zrozumiemy te ciągłe i nieustające najazdy sąsiedzkie, których ofiarą padał zawsze francuski chłop. Pod koniec wieków średnich, spotykamy bezustanne starcia żywiołów społecznych, w których włościanie, bezpośredniego niebiorąc udziału, największe ponosili straty. Tu należy walka emancypacyjna ludności miejskiej z rozciągającymi nad nią swe prawa średniowiecznego feudalizmu, z możnowładcami wiejskimi; tutaj zaliczyć wypada owe kolosalne w skutkach starcie się władzy monarchicznej, królewskiej z możnowładztwem i dążnośćześrodkowania władzy państwowej w ognisku absolutyzmu rządowego. We wszystkich tych bojach chłop francuski zachowywał się biernie. Obojętnem mu było, kto stanie na stanowisku uprzywilejowanym, z którego go nadal wyzyskiwać będzie. On jeden nie albo stosunkowo bardzo mało mógł zyskać i rzeczywiście nie zyskiwał. Przeciwko niemu zwracał się każdy, kto stanowisko odpowiednie ku temu w kraju zdobyć i zająć zdołał. Klasa społeczna, czy osobistość panującego, jednakowo, zgodnie z ówczesnemi pojęciami, na podstawie wyzysku pracy ludności wiejskiej opierała przyszłość swą i byt obecny. I duchowieństwo, które w pewnych epokach posiadało znakomite obszary ziemi, uprawianej przez włościan, nie zaniedbuje stosować się do powszechnie panującego zwyczaju, a częstokroć ucisk chłopów w dobrach i jurysdykcyach duchownych przewyższał wszystko, na co się tyran wiejski zdobyć potrafił. Nawet gminy miejskie, z chwilą gdy potrafiły, po części z pomocą włościan, oswobodzić się z ciężkiej zależności od możnowładztwa, a wskutek tego posiadły władzę terytoryalną nad gruntami gminnemi i ludnością na nich pracującą, nie szczędziły ucisku klasie pracujących włościan.

Z tego też powodu cały przeciąg kilkunastu wieków wypełnił się skargami uciemiężonego chłopstwa, których nikt nie słuchał, a które jedynie w zmieniających się warunkach ekonomicznego gospodarstwa wiejskiego ulgę znaleść mogły i wreczywistości tam ją znajdywały. Stąd historya owych czasów stanowi nieprzerwane pasmo powstań i buntów włościańskich, znanych pod rozmaitemi nazwiskami i w znacznej części wcale do historyi nie zapisanych. Ruch ten atoli, za każdym silniejszym objawem bywał krwawo stłumiany i nigdy na poważniejsze rezultaty rachować nie mógł. Przeciwko włościaństwu bowiem wszystkie klasy społeczne zawsze wystąpić były gotowe. Występowały one też zbiorowo i systematycznie, podczas gdy włościanom, z natury terytoryalnego rozproszenia, jak również i niższego stopnia oświaty, zawsze na zdolnych przywódcach i dokładnem porozumieniu się całkowicie zbywało.

Ani przyjęcie chrześciaństwa, ani nowy pierwiastek indywidualizmu przez germanów na grunt rzymskiej cywilizacyi przeniesiony, nie zdołał polepszyć losu niewolniczo pracującej ludności. Decydującym tu jedynie był systemat zagospodarowania ziemi i wynikający stąd stosunek prawny, w jakim ona pozostawała do narodu.

Historya wykazuje nam też dokładnie przewroty, jakie dokonywały się w tym kierunku. Pierwotny rzymski systemat zagospodarowania ziemi za pośrednictwem niewolniczej pracy, upadł sam przez się z chwilą utworzenia ich latifundiów, czyli nagromadzenia się znacznych obszarów ziemi w prywatnych rękach patrycyuszów rzymskich. Wygodna polityka rzymian, którzy starania około roli w pewnej mieli pogardzie, a przedewszystkiem pragnęli spokojnie używać cywilizacyi starożytnej wielkiego grodu, nie omieszkała wymyśleć sposobu zastąpienia pracy niewolniczej, wymagającej ustawicznego i uciążliwego dozoru. Wszelako gonienie za wygodą nie było ani jedyną, ani najważniejszą przyczyną reformy stosunków rolnictwa. W społecznym rozwoju rzymian nastąpiła chwila, w której niewolnicza praca mała, jakościowo posiadająca wartość nie wystarczała na zaspokojenie najgwałtowniejszych a coraz się rozradzających potrzeb, wzrastającego w liczbę narodu. Tak więc jego stosunek liczebny do przestrzeni zamieszkałej i pod uprawą zajętej ziemi, łącznie ze stopniem cywilizacyjnego rozwoju człowieka stanowiły tutaj o przejściu do bardziej intenzywnego zagospodarowania ziemi. Z ekonomicznej przeto konieczności głównie powstał ów systemat kolonatu, polegający na obsadzeniu ziemi ludźmi rozmaitego pochodzenia, którzy do gruntu przywiązani, razem z nim własność prywatną stanowiąc, na korzyść prawie wyłączną właścicieli go wyzyskiwali. System ten przywiązania do ziemi (*glebae adscripti*), był szczególniej w prowincyach, a więc i Galii obszernie zastosowanym i odpowiadał germańskim obyczajom wyzyskiwania ziemi. Z tego też powodu przetrwał on w zmienionej formie aż do czasów wielkiej rewolucyi francuskiej i rozpowszechnił się w całej prawie Europie. Któż z nas nie pamięta jeszcze tych czasów, gdy posiadłości ziemskie na dusze lub chaty obliczano, a tego wieku dożyło u nas prawo, dozwalające ścigać i przemocą sprowadzać uchodzącego z gruntu włościanina. Tym sposobem, wskutek zmieniających się warunków ekonomicznego bytu a z nimi i systematu zagospodarowania ziemi, zmienia się i stosunek podległości włościaństwa. Zależność człowieka od człowieka przybiera charakter zależności bezpośredniej rolnika od zagospodarowanej ziemi. Jest on jej niewolnikiem i niemoże opuścić jej bezwzględnie.

Zapominać nie trzeba, że z chwilą upadku cesarstwa rzymskiego pasmo starożytnej cywilizacyi przerywa się a stąd i kształtowanie się stosunków wstępuje w okres zastoju. Temu to przypisać należy, że system kolonatu, jako przejściowa forma utrzymał się tak długo i pod rozmaitą wprawdzie postacią, dotrwał aż do najnowszych czasów.

Z chwilą feodalnej organizacyi państwa, gdy władza państwowa, od króla w ręce dumnych przechodzi wasali, wtedy i los włościan pogarsza się znacznie. Brak opieki państwowej staje się wówczas przyczyną, że wielu wolnych nawet ludzi ucieka się pod opiekę możniejszych; oddając na własność prawną, posiadaną przez siebie ziemię, stają się doczesnymi jej posiadaczami, zależnymi czynszownikami, w zamian za gwarantowną im opiekę przeciwko uciskowi zewnętrznemu. Zresztą, była to epoka gwałtów, w której nawet wspólna własność gminna rozchwiała się na korzyść praw możnowładczych.

To powolne przechodzenie wspólnych gruntów gminnych na własność prywatną możnowładców z jednej strony, a wydziedziczenie z ziemi zwyciężonej ludności przez zwycięzców z drugiej, obserwować możemy, studyując historyę panowania anglików w Irlandyi... Jak zaś wielkie obszary przeszły w ręce możnowładztwa przez powolne zajęcie wspólnych gruntów gminnych, świadczy ten fakt, że według Tacyta systemat gospodarstwa germańskiego polegał przeważnie na wspólności gruntowej. Proces przechodzenia tych gruntów w ręce prywatne dokonywał się w dwojaki sposób. Albo możnowładca przyległy przemocą rozciągał swe pretensye, najprzód formalne (juryzdykcya, prawo pobierania danin i t. p.) a następnie na podstawie średniowiecznej zasady *nulle terre sans seigneur* uważać się zaczęli za prawnych właścicieli. Czasami wszelako jeden z członków gminy wyrastał po nad głowy innym i już to za ich zgodą, już to bez niej stawał się prawnym posiadaczem ziemi i protoplastą nowej możnowładczej rodziny. W pierwszym razie przyjmował na siebie obowiązek interesów gminnych na zewnątrz. Ciekawym jest też stosunek służebności gruntowych coraz więcej zajmowanych bezprawnie a stąd wogóle podział pierwiastkowo równych sobie włościan na posiadaczów ziemi i bezziemnych czyli żyjących z wyrobku, którym służące służebności w rodzaju wspólnego pastwiska przypadły choćby z podziału tych przestrzeni. W prawdzie włościanie zpoddańszczeni nie zrywają węzłów solidarności a nawet wykazują przykłady łączenia się w pewnego rodzaju korporacye, dla zapobieżenia niedogodnościom prawa, czyniącego właściciela prawnego ziemi jedynym spadkobiercą włościanina. Takie stowarzyszenia przedstawiały osobę moralną, prawną, która sama w sobie się odradzając i solidarnie powinności wobec prawa i państwa gwarantując, miała trwałą nadzieję utrzymania

się przy posiadanej ziemi. Wogóle widzimy ciągłą dążność wykształcenia się systemu dzierżawnego, stosownie do epok czasu z krótko lub długo trwałym terminem.

Ostatecznie stany jeneralne, zwołane przez Ludwika XVI, zastały stosunki włościańskie w najbardziej opłakanym stanie, jak o tem świadczą *cahiers* czyli polecenia dawane posłom przeważnie stanu trzeciego. Jak trudnem było położenie chłopów, świadczy ta okoliczność, że nawet rewolucya francuska bez porównania mniej radykalnie rozwiązała kwestyę włościańską, niż wszelkie inne zadania socyalnego ustroju. Włościanin bowiem miał zawsze przeciwko sobie wszystkie stany, które tylko niechętnie zezwalały na jakieśkolwiek dla niego ustępstwa. Kwestyą też włościańską mało gdzie dziś w Europie widzimy rozwiązaną. Tradycya traktowania po macoszemu włościan przetrwała do dzisiaj, gdzie chłopu nawet jedyna droga odwołania się do opinii publicznej jest utrudnioną, ponieważ prasa w widokach materyalnych gotową jest zawsze popierać interesa inteligencyi, z której żyje. Z drugiej strony konserwatyzm włościan jest tak wielki, że oni ostatni ustąpili z placu walki za upadły porządek przeciwko tym prawom, które ich w grono obywateli same jedne wprowadzić były w stanie.

Historya przeszłości włościan stanowi niewyczerpane źródło obserwacyi i z tego powodu dzieła specyalne w rodzaju powyżej wymienionego stanowią wyborny materyał dla historycznej szkoły ekonomistów, której przyszłość jest zapewnioną w nauce. Żałować jedynie wypada, że przeszłość naszych włościan nie znalazła dotychczas tak gruntownego historyka, jakim p. Karejew jest dla włościan francuskich.

F. O. Wilkoński.

W PERSPEKTYWIE.

Zaledwie ucichły wieści o pożarach w rozmaitych okolicach kraju a znów mamy do zanotowania fakt zniszczenia przez ogień miasta Krzepic, z którego ocalała jedna tylko ulica i kościół. Czyż klęski te, ustawicznie kraj trapiące nie wyrwą nas z apatyi i nie skłonią do przedsięwzięcia środków, zapobiegających działaniu niszczącego żywiołu, przez tworzenie straży ogniowych ochotniczych, i stosowanie racyonalniejszego systematu budowlanego. Przy istnieniu stosownych środków ratunkowych, skutki pożaru bez wątpienia w większości wypadków byłyby o wiele mniej dotkliwe. Miejscowości niektóre peryodycznie są przez pożary niszczone, a jednak wszystko w nich zostaje po dawnemu; w razie pożaru niema komu i niema czem ratować. Kiedyż wreszcie zniknie ta apatya?

Pora obecna, stanowiąca sezon kąpielowy, daje nam sposobność peryodycznego narzekania na wadliwy stan niektórych zakładów leczniczych krajowych. Spotykamy się z często powtarzanemi zarzutami co do niedbalstwa w urządzeniu zakładu w Ciechocinku, którego zarząd, jak to wnioskować się daje z corocznie powtarzanych skarg, stara się robić co może dla odstręczenia publiczności od uczęszczania do zdrojowisk krajowych. Korespondencye zamieszczone w ciągu ubiegłego tygodnia w *Nowinach* z Ciechocinka i Nałęczowa nie zbyt pochlebnie charakteryzują działalność zakładów kąpielowych krajowych i przypominają historyę o tabakierce i nosie.

Ukazują się też jednak na horyzoncie wypadków bieżących rzeczy bardziej pocieszające. Utrudniony przystęp do szkół rządowych pobudza mieszkańców miast prowincyonalnych do zaradzania złemu. Staraniem kilku obywateli (Tadeusza Lubomirskiego, Jana Bersona i Antoniego Domańskiego) powstała szkoła trzyklasowa w Grójcu z programem szkół miejskich. Mieszkańcy Wielunia podjęli staranie celem zyskania pozwolenia na założenie progimnazyum czteroklasowego, Lublin zaś krząta się około założenia gimnazyum realnego. Może działalnością w tym kierunku dadzą się rozszerzyć zdrowe pojęcia i uczynią się niemożliwemi, wydarzające się tu i owdzie fakta nieprawdopodobne, ale niestety prawdziwe, stawiające nas w dziwnem świetle wobec wieku cywilizacyi i postępu. Może wówczas staną się niemożliwemi wypadki w rodzaju tych, który opisuje korespondent *Nowin* z Radomia, gdzie honoratiores miejscy wbrew protestowi proboszcza nie chcieli przyjąć składki na odbudowanie uszkodzonej wieży kościelnej od R. B. dlatego, że tenże jest żydem i w którym to grodzie przy założeniu stowarzyszenia kasy pożyczkowej dla przemysłowców. nie zaproszono przemysłowców ...żydów. Fakt taki pobudza tylko do często już lecz bynajmniej nie zbytecznie powtarzanego wykrzyku Goethego: „światła, więcej światła."

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 24 sierpnia.

Naród francuski wydał więc wyrok ostateczny o swoim ustroju politycznym na przyszłość. Wybory do nowej Izby deputowanych świetnie stwierdziły ostateczne i stanowcze ugruntowanie rzeczypospolitej a zarazem zamarkowały wyraźnie jej kierunek umiarkowanie postępowy, którego program w ostatnich mowach swoich nakreślił Gambetta. Prezes byłej Izby a jak się zdaje przyszły prezes gabinetu odniósł zwycięstwo w swoim okręgu wyborczym Belleville, przeciw do ostatecznych wysileń posuniętej opozycyi nieprzejednanych czyli komunistów. Większość otrzymana tu przez Gambettę była wprawdzie bardzo nieliczną, jeśli wszakże zważy się, że to zwycięstwo odniesione w okręgu o ludności oddanej w bardzo znacznej części skrajnym zasadom było poniekąd ogniową próbą, to można go w każdym razie powinszować zwycięzcy. Głosowanie w Belleville samo przez się nie dodało jednak blasku osobistości exdyktatora, ale powaga, wpływ i znaczenie jego wobec rozpoczynającej się teraz nowej doby politycznego rozwoju Francyi silnie stwierdzone zostały przez ogólny wynik wyborów, który wprowadza do Izby stronnictwa ściśle gambettystowskie (unia republikańska) w poczcie znakomicie wzmocnionym. Koniec końców, Gambetta utrzyma się na wysokości sytuacyi, poważna większość narodu dała mu na wyborach wotum zaufania a głos opinii publicznej domaga się teraz, aby osobiście objął ster spraw państwa jako prezes ministrów. Ogólna charakterystyka wyborów przedstawia się jako ogromne zwycięztwo republikanów a klęska obu skrajnych skrzydeł t. j. zarówno monarchistów jak intrasigentów, czyli komunistów. Ta ostatnia okoliczność zasługuje na podkreślenie tem bardziej, iż okazało się, że Paryż bynajmniej nie jest tak radykalnym, jak to głoszą zawsze apostołowie nieprzejednani. Żaden kandydat socyalistyczny nie przeszedł w stolicy, która zaledwie kilku członkom lewicy skrajnej udzieliła mandatów poselskich. Szczegółowa statystyka wyborów przedstawia się tak: Na 548 okręgów wybierających posła (łącznie z Algeryą) dokonano ostatecznie 483 wybory, zaś w 65 okręgach żaden kandydat nie otrzymał bezwzględnej większości głosów, a przeto odbędą się wybory ściślejsze w dniu 4 września. Dziś więc można klasyfikować szczegółowo tylko owych 483. Znajduje się w ich liczbie 364 dawnych posłów wybranych ponownie, a mianowicie 303 z lewicy i 61 z prawicy; reszta wybranych nie należała do byłej Izby. Ogółem wybrano 398 republikanów wszystkich odcieni, rojalistów zaś i bonapartystów łącznie 85. Republikanie pozyskali 54 okręgi, z których dawniej 14 wybierało rojalistów, 27 bonapartystów, 13 zaś jest nowych okręgów. Z drugiej strony bonapartyści zdobyli 2 a rojaliści 7 okręgów, które reprezentowane były dotąd przez posłów republikańskich. W ten sposób czysty przyrost mandatów republikańskich odebranych reakcyi wynosi 45. Dwa okręgi odebrali bonapartyści legitymistom. Wybrani dotychczas w liczbie 398 republikanie rozpadają się na poszczególne grupy w stosunku następującym: lewy środek 41, lewica 159, unia republikańska 170, skrajna lewica 28.

Wobec wyborów francuskich wszystkie inne sprawy polityczne zeszły na drugi plan, a nawet kronika ubiegłego tygodnia nie zapisała donioślejszych wypadków. Wspomnieć tylko należy, że idea przyłączenia się Włoch do przymierza austroniemieckiego zaczyna przybierać kształty nieco pewniejsze. Podróż króla Humberta do Wiednia i Berlina jest podobno bliską urzeczywistnienia, a to byłby widomy znak dokończonego porozumienia.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Na ostatniem posiedzeniu zarządu kas rzemieślniczych warszawskich p. Makowiecki przedstawił budżet ich dochodów i rozchodów, który bez zmiany zatwierdzonym został.

— Według wykazu statystycznego departamentu lekarskiego w Cesarstwie i Królestwie polskiem znajduje się lekarzy 13,869, weterynarzy 1,685 dentystów 381, aptek 1,933.

— Sąd okręgowy moskiewski przygotował do osądzenia kilka nowych procesów politycznych.

— Związek gmin żydowskich w Stanach zjednoczonych postanowił zebrać 500,000 dolarów na zapomogi żydom emigrującym do Ameryki.

Przemysł i handel. Bank polski powiększył znacznie kredyt swej filii bankowej w Łodzi, głównie na skutek starań tamecznych fabrykantów.

— W Petersburgu w zarządzie naczelnika miasta urządzono wydział fabryczno-przemysłowy, mający na celu nadzór nad fabrykami i zakładami fabrycznemi podobno w celu zachowania bezpieczeństwa publicznego.

— Na Szląsku górnym budują nową kolej elektryczną mającą przewozić węgiel z kopalni Concordia.

— Dochody celne Państwa rosyjskiego w pierwszem półroczu r. b. wynosiły rs. 33,595,288 czyli o 11,350,031 rs. mniej aniżeli w tymże czasie roku poprzedniego.

Literatura niemiecka. Bäumler. *Der sogenannte animalische Magnetismus oder Hypnotismus.* Leipzig.

— Herman. *Experimentelle und casuistische Studien über Fracturen der Schädelbasis.* Dorpat.

— Karpiński. *Studien über die künstlichen Glieder.* Berlin.

— Krukenberg. *Vergleichend-physiologische Studien.* Heidelberg.

— Lechner. *Zur Pathogenese der Gehirnblutungen der metischen Frühformen.* Wien.

— Rathke. *Ueber die Prinzipien der Thermochemie und ihre Anwendung.* Halle.

— Munk. *Physiologie der Menschen und der Saugethiere.* Berlin.

— Prowe. *Copernicus als Arzt.* Halle.

Literatura francuska. Chambard. *Du somnambulisme en général;* nature, analogies, signification nosologique et étiologique. Paris.

— Chrétien. *Nouveaux elements de medecine operatoire.* Paris.

— Marvand. *Le sommeil et l'insomnie, etude physiologique.* Paris.

— Pierre. *L'école sous la revolution française. Les amours du pape Pie IX.*

— Couteau. *Traité des assurances sur la vie,* doctrine, legislation, jurisprudence. Paris.

— De Folleville. *Leçon d'introduction à un cours de droit international* privé. Paris.

— Blavier. *Des grandeurs électriques et de leur mesure en unité* absolues. Paris.

— Castigliano. *Theorie de l'équilibre,* des systhémes élastiques et ses applications. Turin.

Literatura angielska. Lowis. *Familiar indian flowers.* London.

— Wainwoigt. *Scientific Sophismus,* a review of the current Theories concerning Atoms, Apes and Man. London.

— Day. *On the diseases of childern.* London.

— Flagg. *Plastic and plastic Fillings,* as pertaming to the Filling of all Cavities of Decay in Teeth below Medium in Structure, and to difficult and inacassible Cavaties in Teethof all Graoes of Structure. Philadelphia.

— Hargis. *Yellow Fever,* its Ship, Origin aud Prevention. Philadelphia.

— Jacobi. *Use of the cold Pack,* followed by Massage in the Treatement of Anaemia. New-York.

— Martin. *The human Body.* New-York.

— Merkel. *Fibroid Tumours* of the Uterus aud Ovaries. Boston.

— Otis. *Clinical Lectures on the physiological Pathology aud Treatement of Syphilis.* New-York.

— Roberts. *Detection of Colour Blinduess* aud imperfect Eyesight. London.

— Hall. *Aspects of german culture.* Boston, str. 320.

— Pierce. *Treatise of the law of railroads* Boston

— Gentry. *Illustrations of Nests and Eggs of birds of United Hates.*

— Gordon. *Lecture on static electric introduction.* New-York.

Literatura włoska. Garelli della Morea. *Il quarto stato,* studio sulla quistoni sociale. Torino.

— Martino. *Della ingerenza dello stato nei fatti economici.* Torino.

— Ratazzi. *Discorsi parlamentari* raccolti e publicati per cura di G. Seovazzi. Roma.

— Zanoni. *Studio di caratteri nazionali.* Milano.

OGŁOSZENIA.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Sprostowanie. W numerze poprzednim, w artykule *Wolna szkoła,* szp. 3 w. 11 od dołu zam. *szkoły w Monge,* winno być *w szkole Monge.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Августа 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.